

Z historii kościoła limanowskiego



Fot. Zbigniew Grochot

Limanowa tam była...

**Limanowskie panoramy
Chłopska czy Miejska Góra?**

Wnętrza dworu Marsów

**Jedyny ślad pamięci pomordowanych
z 1939 roku - usunięty**

Kuźnie w limanowskim pejzażu

**Budowa kościoła w Sowlinach
- wspomnienia ks. prał. Jana Bukowca cz. 4**

**Jerzy Wawrzyniec Żuławski
Nie zostawia się przyjaciół...**

Guziki - pamięci pomordowanych

Cichociemni na Ziemi Limanowskiej

Dzieje łowiectwa w Limanowej



Angelika Sukiennik-Gawlik z ojcem Mieczysławem na stadionie w Saint-Étienne w czasie meczu Polska-Szwajcaria w ramach Euro 2016.



Angelika w barwach narodowych.



Angelika, zaproszona przez szwajcarskich policjantów, na ćwiczeniach strzeleckich.

Limanowa tam była...

Wprawdzie od pamiętnego meczu piłki nożnej pomiędzy Polską a Szwajcarią, rozgrywanego w ramach 1/8 finału na Euro 2016, minęły dwa miesiące, to jednak warto wrócić pamięcią do przeżyć związanych z tym wydarzeniem. Po zakwalifikowaniu się do ćwierćfinału Euro, po wielu latach Polska powróciła do grona drużyn liczących się w tej dyscyplinie w Europie.

Relacja z tego meczu dla „Echa Limanowskiego” została przekazana dzięki uprzejmości Mieczysława Sukiennika – radnego Rady Miasta Limanowa, który urlop spędzał u córki, mieszkającej na stałe w Szwajcarii.

Co powiedziała na wstępie limanowianka z urodzenia Angelika Sukiennik-Gawlik: „*Emocje sięgały zenitu! Wysoka kultura obu stron, można było spokojnie z dziećmi oglądać mecz. Ja i tata z naszej czwórki siedzieliśmy po jednej stronie boiska na świetnych miejscach gości UEFA, a mój mąż i brat dokładnie naprzeciwko wśród samych Szwajcarów i świetnie się kibicowało. Respekt mieliśmy dla Szwajcarów, bo pokazali świetną grę oraz wysoką kulturę. Mieliśmy wiele szczęścia – nie ma co ukrywać! Radości było bez końca. Udało się. Brawo Polska!*”

Bilety na mecz otrzymałam za darmo. Było to podziękowanie za udzielenie pierwszej pomocy szwajcarskiej rowerzystce parę tygodni wcześniej, potrąconej przez samochód osobowy. Wezwałam policję i karetkę. Myślałam, że na tym skończy się mój udział w tym nieszczęśliwym wydarzeniu. Tak się nie stało. Poszkodowana kobieta poprosiła policję o mój numer telefonu. W podziękowaniu za okazaną pomoc dała mi bilety na mecz Polski ze Szwajcarią. I jeszcze te wspaniałe przeżycia związane z wygraną przez Polskę nie do wiary!”

W krótkiej rozmowie z Angeliką Sukiennik-Gawlik przedstawiamy dramatyczne wydarzenia z wypadku Szwajcarki i wspaniałe przeżycia z meczu oraz przybliżyliśmy postać głównej bohaterki tej rozmowy.

Proszę o krótkie przedstawienie swojej osoby. Skąd Pani pochodzi? Od jak dawna mieszka Pani w Szwajcarii?

Urodziłam się w Limanowej, do 10-go roku życia mieszkałam w Skrzydziej,



Rodzina Sukienników przed stadionem. Od prawej: Angelika, ojciec Mieczysław, brat oraz mąż.

a potem aż do ukończenia ILO w Limanowej. Do Szwajcarii wyjechałam po ukończeniu studiów w Krakowie.

Proszę opisać wypadek, w którym ucierpiała rowerzystka potrącona przez samochód. Kiedy się to stało i jak Pani pomogła poszkodowanej.

Kilka tygodni temu byłam jedynym świadkiem kolizji z udziałem rowerzystki oraz samochodu osobowego. Kierowca w podeszłym wieku (80 lat) zupełnie nie zauważył rowerzystki znajdującej się w samym centrum ronda i wjechał w nią, doprowadzając do uszkodzeń ciała oraz zniszczenia roweru. Natychmiast zaparkowałam samochód na poboczu i zajęłam się udzielaniem pierwszej pomocy, wezwaniem policji oraz karetki. Poszkodowana była Szwajcarką, która jak potem mi powiedziała wyjątkowo nie miała kasku - jechała do pracy. Dlatego, proszę szczególnie zwrócić uwagę na zakładanie kasków podczas wyjazdów rowerowych – naprawdę ratują życie! Jeżeli kierowca jechałby 10 km/h szybciej to rowerzystki nie byłoby już z nami.

Jak poszkodowana Panią odnalazła?

Po kilku dniach poszkodowana wyprosiła u policjantów mój numer telefonu, opis sytuacji, ponieważ zupełnie nie pamiętała zdarzenia, a następnie po kilku dniach honorowo podarowała mi bilety

na Euro 2016 w kategorii 1. mówiąc, że jestem jej aniołem.

Natychmiast rozpoczęłam przygotowania do wielkiego meczu - nadruk hasła na podkoszulkach oraz flagę narodową z odpowiednim napisem.

Czy jest Pani fanką piłki nożnej?

Oczywiście! Musieliśmy wygrać ten mecz. Poza Portugalczycami wszyscy nam tu życzyli zwycięstwa, na pewno przez to, że szanują Polaków za ich ciężką pracę oraz trochę jesteśmy podobni do Szwajcarów, zarówno pod względem barw narodowych jak i poziomu piłki nożnej.

Jak przeżyła Pani mecz? Z kim Pani była na meczu? Skąd pomysł na napisanie LIMANOWA na fladze?

Na meczu byłam z tatą, bratem oraz mężem. Emocje sięgały zenitu! Mecz był wspaniałym przeżyciem, nawet mimo tego, że siedzieliśmy praktycznie wśród samych Szwajcarów. Dziękuję koledze z Krynicy Zdrój, który podczas przerwy zaoferował nam napoje do picia i ominęliśmy kolejki. Bardzo fajnie było być na meczu, na który spokojnie można było udać się z dziećmi i dobrze się bawić, jak to bywa np. w Hiszpanii na meczach FC Barcelony. Zarówno Polacy jak i Szwajcarzy spisali się na 6. Dodatkowym wspaniałym przeżyciem był fakt, że akurat wkrótce tata ma 65. urodziny, a brat 40., więc udało

się zaoferować im pewnie najlepsze dostępne prezenty pod słońcem.

Limanowa jest w moim sercu na zawsze, tu spędziłam najbardziej bez troskie lata życia i regularnie odwiedzam rodzinę oraz przyjaciół. Co tu wiele mówić, są nadal moimi najlepszymi i lepszych nawet nie szukam. Ostatnio przejechałam wspaniałą trasę rowerową na Mogielicy i jestem pod wrażeniem pięknych widoków i organizacji – było super!

Jak udało się Pani wejść z flagą, bo tata wspominał, że ze względu na duże rozmiary flagi nie chciano Państwa wpuścić?

Nie obyło się bez kombinowania, flaga wg ochrony stadionu była za duża i kazano oddać mi ją do depozytu. Niestety, mecz bez flagi Limanowej nie byłby ten sam, więc musiałam udać się do innego przejścia i przemyścić flagę na ramionach pod włosami i szalikiem.

Jakie były nastroje w Szwajcarii po wygranym meczu Polaków? Czy dużo Polonii w Szwajcarii kibicowało naszym?

Znajomi Szwajcarzy przed meczem byli świetni, powtarzali: niech wygra lepszy. Widać było flagi polskie w oknach oraz sporadycznie na samochodach. Ja miałam na stałe zamontowaną flagę na motocyklu i trąbiłam jak szalona wieczorem w sobotę po przyjeździe samochodem. I muszę powiedzieć że Szwajcarzy nam gratulowali świetnej gry, nie bałam się wandalizmu i chuligaństwa. Muszę potwierdzić, że jest tu naprawdę bezpiecznie. Jeżeli mogę się obawiać to Portugalczyków, bo mają dosyć wybuchową mentalność, którą dało się niejednokrotnie zauważyć.

Na zakończenie chcę powiedzieć:

Poza tym, że poznałam wspaniałą kobietę, która ucierpiała w wypadku, to dodatkowo szwajcarskich policjantów. Zaskoczyłam funkcjonariuszy policji odpowiednim przygotowaniem do zeznań (mapa i rozrysowany wypadek), jak to oczywiście przystało na członka rodziny policyjnej.

To nie koniec dobrej passy.

Po potwierdzeniu, że tata jest byłym policjantem oraz brat czynnie pracuje w policji, zostałam zaproszona przez szwajcarskich policjantów na ćwiczenia strzeleckie wraz z bratem i tatą.

Szałość!

Dzień wypadku oczywiście również mnie zdestabilizował i oczywiście był również lekkim szokiem, nigdy, przenigdy nie myślałam, że przyniesie ze sobą serię tak wspaniałych zdarzeń!

Na koniec chciałam podkreślić, że kask naprawdę ratuje życie. Proszę nie zapominać o jego zakładaniu!

Fotografie:
arch. Angeliki Sukiennik-Gawlik



Przed meczem Polska-Szwajcaria. Od lewej: Mieczysław Sukiennik, Robert Gawlik, Robert Sukiennik.



Rodzina Sukienników ze szwajcarskimi policjantami.



Robert Sukiennik na policyjnej strzelnicy w Szwajcarii.



Stanisław Ociepka

Limanowskie panoramy Chłopska czy Miejska Góra?

W ilustrowanym przewodniku „Po Galicyi” dr. M. Orłowicza wydanym we Lwowie w 1919 r. pod hasłem **Limanowa** czytamy: „(405 m n.m.) z dworca 1 kilometr - wózek 80 hal. (80 halerzy kosztował kurs do centrum miasta - przyp. red.). *Hotel pod Białym Orłem, restauracja Bursztyna na rynku. 2000 mieszkańców (900 Żydów). Nowy kościół projektu Mączyńskiego. Ogromna rafineria nafty francuskiej sp. akc. Wycieczki na Mordarkę (785 m) (jest to szczyt Łysej Góry - 781 m - przyp. red.) i Sałasz (909 m).* Autor nic nie wspomina o Chłopskiej (Miejskiej) Górze.

Jan Lach w monografii: „*Limanowa dzieje miasta – Tom I, 1565-1945*”, wydanej pod redakcją Feliksa Kiryka, Kraków 1999 r. w rozdziale: „*Położenie miasta*”, na str. 22 tak opisuje rzeźbę terenu Limanowej (...) *W okolicy ok. 4 km od centrum miasta w kierunku NE wznosi się największa góra na tym terenie, zwana Łysą. Od jej szczytu rozchodzą się promieniście trzy grzbiety: wschodnio - północno-wschodni długości ok. 300 m schodzący się w dolinie Sarczego Potoku, południowy – najdłuższy ok. 450 m rozdzielony na dwie części podłużnym zagłębieniem. Jego południowe stoki schodzą w kierunku wsi Mordarka oraz grzbiet północno – zachodni rozdzielający przełęczą Łysą Górę od Chłopskiej Góry(...).*

Stefan Bugajski, długoletni nauczyciel geografii, przewodnik beskidzki współpracujący z „Echem Limanowskim” w artykule „*Jeno pod tym znakiem... Wycieczka z Limanowej do krzyży w masywie Łysej Góry*” („EL” nr 140-141, maj-czerwiec,

2006 r.), we wstępie napisał: „*W panoramie Limanowej dominuje bazylika Matki Boskiej Bolesnej, a w jej najbliższym otoczeniu Łysa Góra. Chłopska Góra (Miejska Góra) jest częścią jej masywu wyróżniającego się na najstarszych fotografiach szerokim pasem bezleśnym prowadzącym od jej podnóża do grzbietu. Wysokie miedze dzielą ten pas na zagony upraw, które w górze doprowadzają nas do małego osiedla. Zamieszkujące tu rodziny nie prowadzą już tak intensywnej gospodarki rolnej, wskutek tego pas dawnych upraw ulega zawężeniu. Tuż przy zabudowaniach wznosi się słynny limanowski Krzyż. Dobrze widoczna sylwetka górującego nad Limanową krzyża stała się jednym z symboli naszego miasta (...).*

Kiedy w ostatnim wydaniu „Echa Limanowskiego” opublikowany został artykuł „*Po dwudziestu latach – makietta Jubileuszowego Krzyża*”, w którym została przypomniana w oparciu o archiwalne wydania tego regionalnego czasopisma, historia budowy Krzyża na Chłopskiej Górze (Miejskiej Górze) w Limanowej, powróciła polemika odnosząca się do nazwy wzniesienia (716 m n.p.m.) na południowo-zachodnim ramieniu Łysej Góry, na którym posadowiono monument.

Dlaczego wspominam, że powróciła polemika, bowiem już 20 lat temu, kiedy zaczęto urzeczywistniać projekt budowy Krzyża, zdania wśród mieszkańców Limanowej odnoszące się do nazwy góry, na której miał być posadowiony krzyż, były podzielone.

W artykule „*Ile szczytów, jakie nazwy*” opublikowanym w „EL” nr 29 z lutego 1996 r. mogliśmy przeczytać: „*Góra wznosząca się nad Limanową ma formę dość długiego grzbietu. Gdy patrzymy na nią z miasta, widać wyraźnie dwie kulminacje oddzielone przypominającym przełęcz obniżeniem. Zapewne dlatego w miejscowej tradycji każda z kulminacji ma swoją nazwę (...).* Redakcja „Echa” zwróciła się wówczas do Jana Wielka, autora wielu przewodników, znawcy regionu, aby wypowiedział się w tym temacie. Co wtedy powiedział Jan Wielki: „*(...) Dostępne dotychczas mapy wojskowe oraz geodezyjne podają tylko jedną nazwę Łysa Góra. Dotyczy ona całego grzbietu. Oznaczony jest na nim tylko jeden szczyt – ten na wschodnim krańcu grzbietu (od strony ul. Polnej). Szczyt, wznoszący się, na wprost ul. Leśnej, na skraju wylesionej części zbocza, na mapach nie ma swojej nazwy. Od dawna określany był jednak jako Chłopska Góra w tradycji lokalnej i taką też nazwę podawałem w wielu przewodnikach turystycznych. W tym właśnie miejscu ma stanąć monumentalny krzyż*”.

W tym samym wydaniu „Echa” w artykule „*Budujemy Krzyż*”, po raz pierwszy zaprezentowany został projekt „*Cegielki Budowy Krzyża*”, wykonany przez inż. Leszka W. Pilawskiego, na którym napisano: „*Cegielka na Budowę Krzyża na Miejskiej Górze, Limanowa, 1995 – XX/XXI wiek*”.

► Znany i ceniony przewodnik beskidzki Kazimierz Sowa na zakończenie cyklu artykułów: „W góry, w góry miły bracie...” w „EL” nr 79 z listopada 2000 r. zatytułowanym: „Wszystkie drogi prowadzą do... Krzyża – Nowe szlaki turystyczne w rejonie Łysej Góry” między innymi napisał: „(...) Tutaj znajduje się osiedle kilku domków, a za nimi na skraju zbocza Jubileuszowy Krzyż- **jest to południowo-zachodnie zbocze Łysej Góry od niedawna zwane Miejską Górą.**

Wincenty Gawron, syn Walentego, cenionego w Limanowej etnografa i pamiętnikarza, którego dom rodzinny jest w Sowlinach w przysiółku pod tzw. Bzdyczką, rejon poniżej opisywanego wzniesienia od strony północno - zachodniej, stwierdził: „W czasach mojego dzieciństwa (lata międzywojenne i okupacja) tą wyniosłość terenu nigdy nie nazywaliśmy. Często jako mały chłopak biegałem tam, aby podziwiać tajemnicze miasteczko leżące poniżej w kotlinie – mówiłem idę na górę nad Bzdyczką”. Swoją wypowiedź uzupełnił. „W roku 1984 wuj Wincenty namalował obraz olejny jako prezent dla siostrzenicy Marii Mazur, który w liście opisał: *kościół limanowski z widokiem od strony Lipowego (Siwego Brzegu) na Łysą Górę, a zwłaszcza Miejską Górę*”.

Dla historycznego porządku należy przypomnieć, że do lat trzydziestych ubiegłego stulecia wieś Sowliny była dużą samodzielną gminą. Granica między Sowlinami a Limanową, w rejonie gdzie stoi Krzyż, biegła od szczytu wzdłuż lasu do podnóża przysiółka Granice (dziś ul. Leśna).

Dodam jeszcze, że jako rodowity limanowianin urodzony na tzw. „Kamieńcu” (dziś ul. Kilińskiego) na przełomie lat 50/60 ubiegłego wieku, często biegłem z grupą kolegów bawić się do sośniny tzw. „Małego lasku”, Pod Górą – wówczas mówiliśmy, pobiegniemy tam wąwozem (dziś ul. Leśna) pod Chłopską Górę. Zaś Stefan Bugajski mieszkający również w tym rejonie, twierdzi, że jego grupa kolegów bawiła się w rejonie Łysej Góry, sporadycznie w okolicy Miejskiej Góry.

Kiedy przygotowywałem materiały do albumu „Okruchy pamięci – Limanowa na starej fotografii”, prowadziłem z wieloma limanowskimi seniorami konsultacje odnoszące się do opisu limanowskich panoram. W każdym opisie panoramy Pasma Łososińskiego pojawiały się dwie nazwy najbliższych szczytów nad



Fragment (powiększenie) mapy sztabowej wydanej przez Wojskowy Instytut Geograficzny, rok 1936. Pas 50, Słup 31. Oryginał w skali 1:100 000.

Limanową, Łysa Góra i Chłopska Góra, czego przykładem jest tom I tej publikacji. Pamiętam, jak wówczas Artur Struzik wspominał zawody, organizowane w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia w slalomie narciarskim dla szkolnej młodzieży. Mówił - w rejonie Chłopskiej Góry.

Należy także zwrócić uwagę, iż opisywane przez Stefana Bugajskiego w tomie II albumu *Okruchy pamięci – Limanowa na nowszej fotografii*”, panoramy tegoż

samego pasma zawierają nazwy Łysa Góra i Miejska Góra.

Z tych kilku przykładów widzimy jak różne są opisy odnoszące się do nazwy tego samego wzniesienia.

A więc Chłopska Góra czy Miejska Góra?

Co mówią o nazwie tego szczytu dokumenty: mapy wojskowe, geodezyjne, turystyczne, bądź przewodniki? Odpowiedź jest krótka, we wszystkich dostępnych mapach z okresu: galicyjskiego,



Droga z Chłopskiej Góry, dziś ulica Leśna.

Charakterystyczny element krajobrazu Limanowej - Chłopska Góra



Najstarsza fotografia z Limanowej, z lat 1880-1884.



Koniec XIX wieku.

Poniżej: Lata trzydzieste ubiegłego stulecia.



Początek XX wieku.



międzywojennego oraz powojennego do lat 90. XX wieku, jedynie zaznaczony jest grzbiet Łysej Góry (781m n. p. m.), zaś opisywane wzniesienie (716 m n.p.m.), jako w zasadzie odnoga tego grzbietu, jest bez nazwy. Dlatego uważam, że nazwy: Chłopska Góra czy Miejska Góra mają jedynie charakter lokalny. Ta ostatnia nazwa została upowszechniona w 1999 roku, gdy na tym wzniesieniu posadowiono Milenijny Krzyż, najwyższy w Polsce (37m wysokość, 13m rozpiętość ramion). We współczesnych przewodnikach turystycznych wydanych po 2000 r. najczęściej odnajdujemy nazwę Miejska Góra. Milenijny Krzyż, pamiątka 2000-lecia chrześcijaństwa, góruje nad Limanową już 17 lat. Pomimo upływu tak wielu lat, kiedy mówi się lub pisze o nazwie tego wzniesienia, na którym posadowiono Krzyż, nadal w niektórych środowiskach wywołuje to ekscytacje. Przykładem są poniżej prezentowane teksty.

Antoni Mamak

Mieszkaniec Limanowej Pod Górą, obecnie ul. Leśna.

Wszystkim tym, którym nazwa Chłopska Góra nie odpowiada mówię, że nie mają racji. Bo czymże się różni nazwa Chłopska Góra, uświęcona wiekową tradycją tutejszych mieszkańców, od nazwy Babia Góra. Ja, mieszkaniec Limanowej, którego rodzinne korzenie na terenach Pod Górą sięgają początków XIX wieku, chciałbym wyjaśnić, że nazwa Chłopska Góra ma swoje uzasadnienie.

W kierunku na północ od naszego miasta, otoczona ze wszystkich stron górami tkwi jak wyspa w Beskidzie. Nasza Łysa Góra jest niewielka, jej wysokość wynosi 781m n.p.m., a na obejście jej u podnóża wystarczy około dwóch godzin. Chociaż cały maszyn górski stanowi jedną całość, to nazwa Łysa Góra przyjęła się od środkowej jej części płaskowyżu, aż do najdalej wysuniętego na południowy wschód wierzchołka, na którym znajduje się krzyż (obecnie betonowy). Pierwszy drewniany krzyż postawiony został w tym miejscu w połowie XIX wieku w czasie szalejącej epidemii cholery, jako wotum przebłagalne przez rodziny mieszkające na tych terenach. Nazwę Łysa Góra przypisać można również z tego względu, że jej najbardziej strome południowe stoki, jeszcze do początku XX wieku, porośnięte były tylko w niewielkiej ilości krzewami jałowca



Rodzinny dom Antoniego Mamaka (po prawej).

i sosny. Sam szczyt, rozcięty głębokim usuwiskiem, był pozbawiony drzew i stanowił swego rodzaju hałę, rosły tam wspaniale jałowce.

Druga część góry zachodnia jest już Chłopską Górą, oddzieloną od płaskowyżu niewielką przełęczą, dziś jest tam XIV stacja Drogi Krzyżowej. Wszystkie w rejonie pola uprawne, lasy są własnością rodzin zamieszkałych na samym szczycie góry. Są to rodziny: Wrony, Matłaga, Gawlika, Pałki. W kierunku północno-zachodnim góry są także pola uprawne należące do rodzin: Czachurskich, Biedów, Wojtasów, zamieszkujących przysiółek tzw. Bzdyczka. Tereny te nadal leżą w granicach wsi Sowliny. Południowe zbocze góry od samego podnóża aż po jej szczyt to wąski charakterystyczny pas pól uprawnych, z wiekowym domem Abrama (dom spłonął w 2003 r.). Dolna część tych pól od 150 lat jest własnością mojej rodziny. Wszystkie te wymienione pola i lasy, były głównym źródłem utrzymania rolników, chłopów.

Do 1933 roku zachodnia część góry, pokryta lasem, należała do Sowlin. Właścicielami tych lasów byli i nadal są rodziny: Jońców i Jeżów, Porębów i Śliwów. Znaczna część lasów należy do rodziny Jeżów, stąd często miejscowi mieszkańcy, Chłopską Górę nazywają Jeżową Górą. Tak więc cała południowa, zachodnia i północna strona, od podnóża po jej szczyt, od wielu pokoleń była i nadal jest własnością rolników i chłopów, i nikt tego nie zmieni. Jest to więc Chłopska Góra.

Na naszej polskiej ziemi, na placach, rozdrożach, górach stoi niezliczona ilość krzyży, tych zwyczajnych pięknych w swojej

prostocie i takich jak na Giewoncie albo niedalekiej górze Paproć. Lecz nikt z tego powodu nazwy wzniesienia nie zmienia. Czyżby Limanowa miała ekskluzywny zwyczaj? Więc dlaczego kiedy postawiono wspaniały Jubileuszowy Krzyż na Chłopskiej Górze zmieniono nazwę na Miejską Górę? Z kim konsultowano ten fakt, czy to nie jest beztrojski kaprys. Chłopska Góra jest określeniem przyjętym od wielu lat i pokoleń, uświęcona tutejszą tradycją i należy ją uszanować. Chciałbym także zaznaczyć, że do wszystkich jej mieszkańców przychodziły urzędowe pisma, nakazy płatnicze, na adres Pod Górą. W mojej metryce urodzenia jest napisane, urodzony Pod Górą nr domu 159. Dziś mieszkam w tym samym miejscu, lecz przy ul. Leśnej 50.

Nie dajmy się ogłupić, współczesną, fascynacją dla niektórych nazw i chrońmy to, co pozostawili nam w spadku nasi ojcowie.

Niech nasz wspaniały Milenijny Krzyż stoi na Chłopskiej Górze tak jak od lat stał ten pierwszy na Łysej Górze. Niech spoglądają z naszych pięknych gór na miasto i chroni jego mieszkańców.

Strzeżmy więc naszych dawnych nazw: gór, przysiółków, zagród, bo są to nasze tradycje przynależne do dziedzictwa narodowego.

Leszek W. Pilawski

Projektant Jubileuszowego Krzyża.

W poprzednim numerze „EL” (nr 262-263, lipiec-sierpień 2016 r.) ukazał się artykuł pt. „Po dwudziestu latach – makieta Jubileuszowego Krzyża”, którego krótki fragment cytuję: „Po wizji



Leszek W. Pilawski z mamą przed willą „Zacisze”.
Rok 1953-54.

w terenie przeprowadzonej przez członków Zarządu Miasta Limanowa 6 września 1995 roku zmieniono lokalizację krzyża (wcześniej rozważano usytuowanie krzyża na Łysej Górze w miejscu już tam stojącego), proponując ustawienie go na szczycie Chłopskiej Góry ponad lasem miejskim. I tu prawdopodobnie pojawiło się po raz pierwszy określenie „miejski”, które ku zdziwieniu tutejszych mieszkańców doprowadziło później do zmiany określenia nazwy góry z Chłopskiej na Miejską Górę, czego mieszkańcy tych rejonów nigdy nie zaakceptowali”.

Nic bardziej mylnego. Zarówno teza jak i wniosek z niej wyciągnięty nie są prawdziwe. Jeżeli mieszkańcy „tych rejonów” są zdziwieni i nigdy nie zaakceptowali nazwy „Miejska Góra”, tak też mieszkańcy terenów, w których mieszka autor tego tekstu nigdy nie zaakceptują nazwy „Chłopska Góra” i są również bardzo zdziwieni niezrozumiałą akcją niektórych środowisk do propagowania i narzucenia lokalnej nazwy „Chłopska Góra”.

Brałem udział we wszystkich spotkaniach Komitetu Budowy Krzyża na Miejskiej Górze włącznie ze wspomnianą wizją lokalną na jej szczycie. Już na pierwszym spotkaniu Komitetu postanowiliśmy wyjaśnić, na jakiej górze będziemy budowali Krzyż: czy na Miejskiej Górze, czy na Chłopskiej Górze, z którą to nazwą sporadycznie się spotykaliśmy.

Komitet Budowy Krzyża jednogłośnie postanowił, że jedyną nazwą, która będzie obowiązywała zarówno przy zbieraniu funduszy (plakietki, cegiełki), jak podczas projektowania i budowy krzyża będzie używana nazwa „Miejska Góra”.

Również pomysłodawca budowy krzyża ówczesny radny Andrzej Pilawski zaproponował budowę krzyża na Miejskiej Górze. Ta nazwa była używana od początku również w różnych okolicznościowych publikacjach i albumach aż do tej chwili, kiedy z zaskoczeniem dowiedzieliśmy się o „zdziwieniu mieszkańców tych rejonów”.

A teraz kilka osobistych wspomnień. Po wojnie w roku 1945 powróciliśmy z Limanowej do Gdańska. Na każde wakacje wracaliśmy jednak z rodzicami do Dziadków w Limanowej. Dokładnie pamiętam, gdy podczas wakacji pod koniec lat 40-tych, jako kilkuletni chłopiec, zapytałem Babcie, jak się nazywa ta góra? Załączone zdjęcie (zrobione około 1953-1954), na którym autor tego tekstu siedzi wraz ze swoją Mamą w ogrodzie willi „Zacisze” na tle dwóch okazałych gór, wtedy jeszcze nie zasłoniętych przez kanciastą bryłę ogólniaka pozwala zrozumieć uzasadnioną ciekawość małego chłopca.

Odpowiedź Babci była krótka i jednoznaczna, cytuję z pamięci: „*Ta dal-sza nazywa się Łysa Góra, a ta bliższa to jest Miejska Góra*”. Gdyby było inaczej, Babcia by mi to powiedziała, ponieważ Babcie nie kłamię.

Tak więc w naszej okolicy używana była tylko nazwa Miejska Góra znana tak już od przed wojny (dom Dziadkowie nabyli w roku 1934).

Na koniec sugestia: niech mieszkańcy terenów pod górą nazywają ją po swojemu Chłopska Góra, a mieszkańcy naszych terenów będą używali nazwy Miejska Góra i niech nikt się temu nie dziwi i nie narzuca swojej woli innym.



Wzniesienie, o którym mowa w powyższym tekście, na mapach nigdy nie miało swej nazwy. Zawsze jednak było charakterystycznym ze względu, iż od jego podnóża aż do szczytu było jedynie zagospodarowane polami uprawnymi. Ta pusta przestrzeń miała kapitalne znaczenie przy rozpoznawaniu obrazów na najstarszych fotografiach Limanowej z końca XIX i początku XX wieku (fotoreportaż).

Obecnie, gdy teren ten został zalesiony, wydawałoby się, że góra ta straciła swój charakterystyczny wygląd. Tak jednak się nie stało, gdyż mieszkańcy Limanowej społecznym wysiłkiem postawili tam Jubileuszowy Krzyż. Wówczas wzniesienie to nabrało jeszcze większego znaczenia i obok bazyliki limanowskiej jest nadal miejscem najbardziej charakterystycznym i rozpoznawalnym dla naszego miasta.

Wydaje się więc, że emocje związane z określeniem nazwy tej góry są mniej istotne. Uważam, że należy uszanować zarówno jedną jak i drugą nazwę.

Pewne jest jedno. Góra nazywana Chłopską jest tym samym wzniesieniem co Miejska Góra.

Fotografie: arch. Leszka W. Pilawskiego, arch. albumu „Okruchy pamięci”

Budowa kościoła w Sowlinach

Wspomnienia ks. prał. Jana Bukowca

– ich wartości badawcze i poznawcze cz. 4

Wprowadzenie do podsumowania

Przypomnijmy, jaka była sytuacja duszpasterska ówczesnych Sowlin. Otóż tę wspólnotę, nie posiadającą do 1945 r. własnej świątyni, ale będącą odrębnym organizmem architektonicznym, urbanistycznym, socjologicznym, kulturowym i chyba też duszpasterskim, należałoby nazwać, gdyby nie fakt przynależności Sowlin do parafii limanowskiej, *wspólnotą katakumbową* (ze zbudowaną wreszcie w latach 30. XX w. po wielu latach oczekiwania kaplicą ukrytą w murach szkolnych), ale gdy stary poniemiecki barak zaadaptowano na kaplicę (szkolną), by „ustrzec młode pokolenia od duchowej mizერი i przeciwdziałać zaniedbaniu moralnemu na nowych osiedlach”¹, zaczęła się ona powoli przekształcać we *wspólnotę adwentową*, oczekującą cierpliwie, by ten mikrokosmos architektoniczny i urbanistyczno-socjologiczny, jakim są Sowliny, wzbogacić z czasem o swój własny, tak bardzo potrzebny kościół.

Odmowa przez szereg lat udzielenia zezwolenia na budowę kościoła, dyskryminowała ludzi wierzących, a ludność ta walcząca przez lata całe do roku 1975 pod kierunkiem swoich duszpasterzy (administratorów placówki rektoralnej) o własny kościół, nie będąc wysłuchiwaną, była traktowana przez władze jako społeczność drugiej, a nawet trzeciej kategorii². Było to w efekcie postępowanie niemal wykluczające ludzi chorych czy niepełnosprawnych, słabych, bowiem niektórzy z nich, nie mogąc stać na mrozie, słońcu lub deszczu ze względów zdrowotnych (kaplica była zbyt mała, by pomieścić wszystkich wiernych), rzadko, ale niekiedy nieliczni z nich, byli zmuszeni i z bólem serca rezygnowali z nabożeństw, nawet Mszy św.³.

Podsumowanie

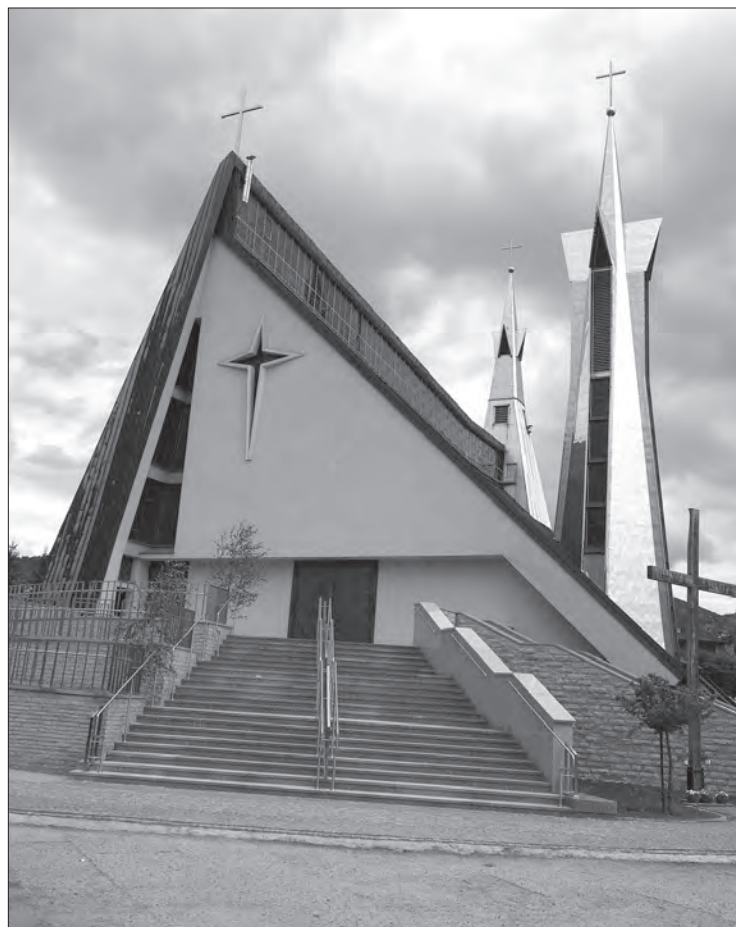
W opublikowanych dotychczas w „Echu Limanowskim” Wspomnieniach ks. prał. Jana Bukowca, poświęconych dziejom budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach, poruszonych zostało w trzech odcinkach wiele ważnych wątków i problemów. Z pewnością nie wszystkie sprawy zostały w nich zawarte, bo to przecież jest niemożliwe, by napisać o wszystkim, co wydarzyło się w przeciągu kilku dziesięcioleci czy nawet kilkunastu lat, których ta budowa dotyczy. Z czasem – w to nie wątpię – poruszane zostaną następne wątki, wyjdą dodatkowe zagadnienia i problemy, gdy do całego kompleksu spraw zabiorą się specjaliści od hydrologii, geologii, ekonomiki, mykologii, urbanistyki, budownictwa, architektury, rzeźby, malarstwa, socjologii kultury, duszpasterstwa i zarządzania parafią oraz inni fachowcy, którzy do tego wszystkiego dołączą jeszcze swoje refleksje, rozważania i badania. Ale teraz nadszedł już czas, by podsumować to wszystko, co na tym etapie wiemy na temat budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach, przekazanych we Wspomnieniach ks. prał. Jana Bukowca, bo wiemy już dużo, nawet bardzo dużo, mając ciągły, linearny, pełny obraz budowy kościoła w ujęciu retrospektywnym i w pewnym sensie także charakterystykę wytrwałego, niezmordowanego budowniczego ks. prał. Jana Bukowca.

Starając się w ówczesnych czasach o pozwolenie na budowę kościoła, trzeba było być bardzo odważnym, zdeterminowanym, mocnym jak tur i w dodatku – jak trafnie ktoś zauważył i wybornie skomentował – mieć za sobą karierę wybitnego lekkoatlety, długodystansowca, bowiem te starania o plac, pozwolenie na budowę i zezwolenie na rozpoczęcie budowy, to istny bieg z (co najmniej trzema) przeszkodami.



Jeśli w końcu udało się je pokonać, władze stawiały ograniczenia co do wysokości kościoła – jego gabarytu (wstępny projekt kościoła w Sowlinach obniżono o 6 m, stracił on na swej strzelistości, proporcjonalności; był za szeroki w stosunku do swej wysokości) i nie wolno było stawiać wież (zakaz używania jakichkolwiek elementów wysokościowych poza zasadniczy gabaryt). Jak z powyższych relacji oraz zamieszczonej we Wspomnieniach narracji wynika i co trzeba wyeksponować, budowniczy, ks. prał. Jan Bukowiec działał w trudnych czasach komunistycznej rzeczywistości, bowiem czasy Gomułki (gdy ks. Prałat przyszedł w 1964 r. do Sowlin ⁴, a następnie gdy w 1969 r., zostając administratorem placówki rektoralnej, złożył prośbę o pozwolenie na budowę) obfitowały w przeróżne przeszkody, stawiane księżom, którzy odważyli się podjąć starania o budowę kościoła. W początkowym okresie nie było ze strony władzy żadnej chęci dialogu, występowała wyraźna asymetria w traktowaniu Kościoła. „W latach 1948–1970 trudno jest mówić w Polsce o budowaniu świątyń jako zjawisku, poza sporadycznymi przypadkami wywalczanych przez zdesperowanych wiernych nielicznych pozwoleń na budowę” ⁵. „Władze państwowe, przy zachowaniu pozorów praworządności, stosowały wypróbowaną strategię: podczas gdy „góra” zapewniała, że społeczność katolicka ma prawo do wyznawania swojej wiary, urzędnicy „na dole” realizowali poufne zalecenia partii, zmierzające m.in. do ograniczenia budownictwa sakralnego, co w efekcie miało prowadzić m.in. do dechrystianizacji i ateizacji społeczeństwa” ⁶. „O tym władze kościelne w Polsce doskonale wiedziały, miały jednak duże doświadczenie w cierpliwym i konsekwentnym dochodzeniu praw ludzi wierzących, zagwarantowanych w socjalistycznej konstytucji” ⁷.

W związku z powyższym ksiądz-budowniczy, wstępując na tę trudną drogę, zdawał sobie sprawę z tego, że jego droga będzie ciernista, a pod nogami znajdować będzie rzucane kłody. Pomimo to ks. Prałat wstąpił na tę drogę, bo wiedział, że ma do spełnienia wielkie zadanie względem społeczności, która mu została powierzona. „Ogromna ilość przeszkód i tendencyjnie sprowokowanych kłopotów przez >>jedynie słuszną ówczesną komunę<< byłyby nie do pokonania dla wielu energicznych ludzi. Z tymi niezliczonymi problemami poradził sobie w sposób niemal nadprzyrodzony przy Bożej pomocy i przy wsparciu znacznych parafian, z heroicznym wysiłkiem ks. prał. Jan Bukowiec” – powiedział arch. inż. mgr Leszek Wojciech Pilawski. Z zadania-misji wywiązał się więc znakomicie, bowiem pod koniec tego trudnego okresu (za czasów Gierka), nie zrażając się niczym i łamiąc przeszkody, potrafił „wyszarpać”, wyrwać (w sposób skrajnie możliwy, ale kulturalny) władzy pozwolenie, nie bojąc się podejmowania trudnych i odważnych kroków, jak chociażby tego związanego z „wykonaniem telefonu” do I sekretarza partii w Limanowej, a następnie związanego z wizytą w domu partii i rozmową z I sekretarzem Antonim Rączką, co przez niektórych nieufnych skwitowane zostało dobitnie następującym ostrym stwierdzeniem w formie retorycznego pytania i zarazem konstatacji: „Nie bałeś się pójść do tej [...]”. Nie tylko że ks. Prałat nie bał się tam pójść ⁸, ale ze spotkania i rozmowy z I sekretarzem Antonim Rączką był bardzo zadowolony. Od tego zwrotnego, przełomowego momentu, dzięki pomocy ludzi odważnych i przewidujących jak Antoni Rączka, cała sprawa nabrała rumieńców i rozpoczęła się właściwa droga prowadząca do otrzymania tak od dawna oczekiwanego zezwolenia na budowę kościoła. ▶



► W trakcie spisywania końcowej relacji Wspomnień, już po opublikowaniu kilku znaczących wątków, pojawiały się nowe, jak np. ten o następującej treści. „Kiedy w Polsce, w Limanowej pojawił się artysta malarz Wincenty Gawron, pochodzący ze Starej Wsi – powiedział ks. Prałat – przywiózł z sobą ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej *list intencyjny* od Polonii amerykańskiej w sprawie budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach. My zaś na miejscu – kontynuował ks. Prałat – zebraliśmy ok. 2 tys. podpisów mieszkańców Sowlin (i nie tylko), dotyczących potrzeby budowy kościoła. Z tymi dokumentami udaliśmy się (ks. Jan Bukowiec i artysta malarz Wincenty Gawron – „liczący się w kręgach Polonii”, przyp. Redakcji) do wojewody krakowskiego i złożyliśmy owe dokumenty na jego ręce. W niedługim czasie – mówił dalej ks. prał. Jan Bukowiec – uzyskaliśmy pozwolenie na budowę kościoła w Sowlinach”. Owe dokumenty i osobista interwencja Księdza i Artysty u wojewody oraz Księdza u I sekretarza miały znaczący wpływ na uzyskanie tak potrzebnego i od dziesięcioleci tak bardzo oczekiwanego przez mieszkańców Sowlin i okolicy pozwolenia na budowę kościoła. Działania i zabiegi, które podejmowano, miały wielowątkowy charakter, różnorodny przebieg i były niezwykle ważne i działały z pewnością powoli, ale znacząco, jak ta przysłowiowa *kropla, która skalę żłobi*.

W tej trudnej, powojennej sytuacji Sowliny i tak – trzeba przyznać – miały szczęście, dzięki życiowej mądrości ks. Władysława Rysia, który zaadaptował poniemiecki barak na kaplicę. Owa kaplica to argument koronny w procesie dochodzenia do własnego kościoła, bowiem pozwolenie na budowę kościoła (czyt. kaplicy) *łatwiej* było otrzymać wówczas, gdy na osiedlu stała *stara* kaplica, która w takiej sytuacji stawała się *punktem zaczepienia* dla starań o budowę *nowego* kościoła. I po drugie – osadzając dzieje budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach w szerszym, ogólnopolskim kontekście historycznym, trzeba zaznaczyć, iż na początku lat 70. XX w. i z biegiem kolejnych lat, w wyniku zmieniających się powoli stosunków społeczno-politycznych w naszym kraju, wywołanych kryzysem i burzliwymi wystąpieniami społeczno-robotniczymi, następował powolny, stopniowy proces odblokowywania budownictwa sakralnego⁹, a więc „coś drgnęło”, mówiąc ówczesnym nomenklaturowym językiem¹⁰.

Czytając te zajmujące, pełne napięcia, a niekiedy burzące krew w żyłach relacje – wspomnienia o historii budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach – powtarza się w nich jedno ważne sformułowanie, niemal stwierdzenie: *wychodzenie naprzeciw*: Bowiem *naprzeciw* ks. Władysławowi Rysiovi wyszedł dyrektor Józef Florian, *naprzeciw* ks. prał. Janowi Bukowcowi wyszedł I sekretarz Antoni Rączka, a następnie artysta malarz Wincenty Gawron (mając wsparcie Polonii amerykańskiej) oraz wojewoda krakowski; przyspieszyli oni proces wydania zezwolenia na budowę kościoła, stając się w pewnym sensie katalizatorami. *Naprzeciw* ks. Prałatowi wyszedł także geodeta miejski mgr inż. Jan Widomski. Oto jego deklaracja: „Jako mieszkaniec Sowlin od sierpnia 1974 r. pragnąłem włączyć się w dzieło budowy kościoła (czyt. kaplicy) i w związku z tym nawiązałem bezpośredni kontakt z ks. Janem Bukowcem, administratorem rektoralnej placówki duszpasterskiej, gdyż zakres moich czynności służbowych, jako geodety miejskiego dla miast Limanowa i Mszana Dolna, obejmował znajomość zagadnień geodezyjnych *wychodzących naprzeciw* potrzebom

i problemom do rozwiązania, stawianych przez Wydział ds. Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu”. Wreszcie *naprzeciw* budowanemu kościołowi wyszła cała rzesza ludzi dobrej woli, garnących się do pracy, pełnych sił i zapału, nierzadko poświęcających swój urlop, dni wolne od pracy, bez pomocy których powstanie kościoła nie byłoby możliwe, a którzy w swoim życiorysie mogą napisać sobie jedno z najważniejszych zdań w swoim życiu: *Budowaliśmy kościół, poszukując w nim CZEGOŚ WIĘCEJ, a budując go dla siebie, naszych dzieci, wnuków i następnych pokoleń, staraliśmy się prowadzić świadome, uważne, pełne godności, ofiarne życie*.

Nie do pogardzenia są słowa ks. Prałata, dające się wyczytać między wierszami Wspomnień, dotyczące budowania kościoła przez społeczność Sowlin z socjologicznego i duszpasterskiego punktu widzenia. Miało to głębsze podstawy etyczne i psychologiczne, gdyż ważnym czynnikiem było tworzenie się w trakcie budowy, wśród członków wspólnoty parafialnej, więzów społecznych, emocjonalnych – wspólnototwórczych, wyzwalających entuzjazm i zapał według zasady: „budowa świątyni radością wiernych”. Spiętrzanie trudności ze strony władzy powodowało mobilizację i entuzjazm ze strony ludności, która z tym większym zapałem i gorliwością przystępowała do budowy. Wraz z budową kościoła widzialnego – materialnego rósł kościół żywy – duchowy; zwornik łączący parafian w jeden wspólny organizm, bowiem „Ci, którzy widome kościoły Bogu budują, wpierv serdeczny kościół w sercu zbudowali”¹¹. Przykładem na to niech będzie poniższa wypowiedź. „Przez to, że nasz niezłomny bohater, ks. prał. Jan Bukowiec, rozpoczął budowę kościoła, wielu mieszkańców Sowlin, z ościennych przysiółków, którzy od dawna ze względu na dużą odległość do kościoła macierzystego w Limanowej chodzili na nabożeństwa do kościołów: w Łososinie Górnej, Słopicach, a nawet Tymbarku, zaczęło powracać „na ojczyzny łono” i uczestniczyć w nabożeństwach w swoim kościele parafialnym w Sowlinach – powiedzieli mi z naciskiem i jednogłośnie państwo: Jadwiga i Władysław Garcarzowie. Jest to osiągnięcie ogromnej wagi – dodali Państwo Garcarzowie, ale na to składają się lata wytrwałej duszpasterskiej pracy ks. Prałata, który pracował przez lata całe wokoło scalania, konsolidowania parafii, podkreślając ten ważny aspekt duszpasterski w kazaniach, podczas tzw. kolędy, a także w indywidualnych czy też zbiorowych rozmowach podczas budowy kościoła”. Tym samym potwierdził ks. Prałat starą prawdę, że budując kościół materialny należy równocześnie budować kościół duchowy. W związku z tym na pierwszy plan wysunęła się budowa kościoła duchowego, bowiem „Jeśli Pan domu nie zbuduje, na próżno trzudzą się ci, którzy go wznoszą”¹².

Wspomnienia ks. Prałata, spisane przeze mnie, to relacje podawane z różnej perspektywy, raz ich Autor odnosi się do przedstawianych wydarzeń z dystansem, innym razem da się odczuć bliskość emocjonalną z wydarzeniami, które toczą się – rozgrywają – przed naszymi oczami (czyt. uszami) w Jego Wspomnieniach. To, że narracja podawana jest z pewnej perspektywy czasowej, ma znaczenie, gdyż jest mimowolnie opatrzona jawnym lub ukrytym komentarzem, zawierającym również refleksje historiozoficzne i socjologiczne. W tych zbiektywizowanych relacjach, uzyskanych z przekazu indywidualnego, odbijają się uwarunkowania polityczne i społeczne. Jak każde wspomnienie, tak i te zabarwione są różnym stopniem emocji, które pozostają wciąż żywe i właśnie dlatego te

wspomnienia są naturalne, tak niepowtarzalne i indywidualne. Ponieważ do dzisiaj budzą emocje, nie wiem, czy w całości racje ma staropolskie przysłowie, które stara się wmówić, że: *Wspominać miło, co przedtem trapiło*.

Chociaż Wspomnienia te dotyczą czasów zamykających się w większości w latach 1964–2004, a więc ich pierwsze zdarzenia miały miejsce ponad 50 lat temu, bowiem spisane zostały dopiero na przełomie 2015/16 r., niejednokrotnie – ich Autor patrzy na nie z dystansu – okrasza je humorem, a niekiedy mocnym komentarzem, nigdy nie przekraczającym jednak dobrego smaku. W wypowiedziach ks. Prałata przebija głęboki patriotyzm i żarliwa religijność. Toteż trzeba powiedzieć, iż rozmowy z ks. Prałatem były prawdziwą przyjemnością. Ks. Prałat, głęboko zaangażowany w budowę, otwarty, szczery, chętny do rozmowy i przyjaźnie nastawiony do spisującego te słowa (który słuchał, notował i nie przerywał, a jeśli już to tylko po to, by postawić uzupełniające pytanie), relacjonował chronologicznie zdarzenie po zdarzeniu, problem po problemie, jasno opisując trudności, jakie występowały przy staraniu się najpierw o miejsce pod kościół, czyli o plac pod budowę, o pozwolenie na budowę czy wreszcie o zezwolenie na rozpoczęcie budowy. „Ks. Jan Bukowiec był tak ogromnie zdeterminowany chęcią uzyskania zezwolenia na rozpoczęcie budowy – powiedział mi mgr inż. Jan Widomski, że w jednym dniu trzykrotnie dowoził na bieżąco uzupełniane dokumenty (mapy oraz jeszcze inne papiery) do Wydziału ds. Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu i po godzinie 13⁰⁰, gdy urzędnik jedną nogą był już prawie poza progiem, złożył formalny wniosek z żądanymi załącznikami, uzyskując zapewnienie wydania zezwolenia”. Ks. Prałat ukazywał to wszystko z ogromną dozą poczucia humoru, jaka cechuje ludzi niezwykle inteligentnych, chociaż w wielu sytuacjach, które opisywał ks. Prałat, ani Jemu samemu, ani słuchającemu Jego słów nie było wcale do śmiechu, a ponadto, by to wszystko móc zrozumieć, trzeba mieć dużo wiary i uruchomić wyobraźnię.

Ks. Prałat był dalekowzrocznym strategiem. Mając projekt kościoła bez wież, zakładając fundamenty pod kościół, myślał już o budowie wież, gdy nadarzy się taka okazja (założono więc fundament pod wieżę główną, którą dopiero po upadku komunizmu można było zbudować). Był rzecznikiem społeczeństwa obywatelskiego oddając wiele spraw w ręce odpowiedzialnych parafian. Miał swoich profesjonalnych ludzi na różnych państwowych stanowiskach, którzy Mu pomagali, a także współpracowników (np. ks. Ryszarda Stasika czy ks. dr. Karola Dziubaczkę). Wkład ludzi i fachowców w budowę kościoła był ogromny, o czym świadczą chociażby zacytowane powyżej zdania oraz poniższy przykład. „W trakcie wykonywania konstrukcji stropu nad dolną częścią kościoła, zamieniłem – powiedział mi mgr inż. Franciszek Michałek, kierownik budowy – konstrukcję stropu płytowego żelbetowego (gr. płyty 20–24 cm) na strop płytowo-żebrowy (o gr. płyty 10–12 cm). Uzyskano w ten sposób znaczne oszczędności: betonu, stali zbrojeniowej i robocizny, co zmniejszyło koszt wykonania tego stropu prawie o połowę”¹³.

Jako bystry obserwator, dysponujący dobrą pamięcią, ks. Prałat potrafił po latach przywołać zdarzenia, związane z budową kościoła. Jako autor wspomnień, rozgrywający główną partię, waży słowa, ale i bawi się nimi, chociażby wówczas, gdy relacjonuje spotkanie z I sekretarzem Antonim Rączką¹⁴. Ma

dystans do siebie, ale wie, komu te wspomnienia przekazuje. Ma pełne zaufanie, że zostaną one zanotowane i przekazane zgodnie z jego przekazem słownym. Jak z powyższych zdań wynika, ks. prał. Bukowiec to człowiek nietuzinkowy w swoich pomysłach i rozwiązaniach, roztropny, rozsądny i ząbiegliwy, a poza tym bardzo logiczny i skuteczny. Do zilustrowania tych atrybutów niech posłuży jeszcze jeden z wielu przykładów: Pewnego dnia ks. Prałat stanął przed nie lada problemem zorganizowania w środku tygodnia natychmiast, a więc na bieżąco rozładunku (transportu materiałów budowlanych, chodziło o stolarkę budowlaną) na potrzeby kościoła. Przyjechał więc z tym problemem do p. Walentego Dutki z Moczarek, bo wiedział, że może na niego liczyć. „Ojciec – powiedział mi Ludomir Dutka – nie mógł brać bezpośredniego udziału w rozładunku, gdyż był już chory, ale zmobilizował grupę takich mężczyzn, którzy zawsze ochoczo przy kościele pracowali (posłał więc mojego brata, swojego zięcia, siostrzeńca oraz kilku jeszcze sąsiadów) i oni pomagali przy rozładunku. W niedzielę ks. Prałat w „ogłoszeniach parafialnych” podziękował WSZYTKIM pracującym przy rozładunku na ręce mego Ojca, który – jak wyraził się dosadnie Jego syn Ludomir – nawet palcem w bucie nie kiwnął przy rozładunku, ale grupę – co prawda – zorganizował. Stał się więc szefem i nie może dziwić fakt, że splendor całej akcji spłynął więc na niego, bo on tę grupę przygotował”. Wniosek jest więc prosty: po pierwsze – ks. Prałat wiedział, bo znał swoich parafian, komu może powierzyć taką misję z powodzeniem. Po drugie – sankcjonował w przysiółkach czy osiedlach zastaną czy powstającą hierarchię zawodową, sąsiedzką czy społeczną, bo szef to szef, jest ważny (i już).

Wspomnienia te, spełniające niezbywalną rolę ustalenia faktów historycznych, pozwoliły odkryć nieznane dotąd sprawy i trudne zagadnienia jak: pozyskiwanie placu pod kościół, z wykupywaniem działek włącznie, by uzyskać pozwolenie na budowę kościoła, wszelkiego rodzaju czynione machinacje ze strony władzy i stawiane trudności, pośród których ks. Prałat znajdował się niekiedy w bardzo trudnej sytuacji. Będąc „między młotem a kowadłem”, między Scyllą i Charybdą wychodził z tego wszystkiego obronną ręką i wreszcie po 9 latach starań uzyskał w październiku 1975 r. zezwolenie na budowę kościoła (bez wieży, co należy z całą wyrazistością powiedzieć, na jej budowę trzeba było poczekać jeszcze kilkanaście lat), co zamknęło pierwszy etap budowy kościoła. Od dłuższego już czasu trwało pozyskiwanie (niemożliwych do kupienia przez księdza) materiałów. Drugi etap, wraz z trwającym procesem projektowym kościoła, ogniskujący się wokół starań o zezwolenie na rozpoczęcie budowy, który przebiegał linią sinusoidalną, związaną m.in. z czynionymi przez Wydział ds. Wyznań trudnościami, zakończył się uzyskaniem zezwolenia na jego rozpoczęcie. „Uczestniczyłem w wielu naradach organizowanych przez ks. Jana Bukowca, związanych ze spełnianiem niepisanych, a wymyślanych przez Wydział ds. Wyznań w Nowym Sączu przeszkód, które należało usunąć, aby można było złożyć w tym Wydziale wniosek wraz z załącznikami o wydanie zezwolenia na rozpoczęcie budowy kościoła (czyt. kaplicy) – powiedział mi geodeta miejski mgr inż. Jan Widomski”. Trzeci etap, datowany od 1979 r., wiąże się z rozpoczęciem budowy i kończy się poświęceniem kościoła dolnego w 1984 r. Czwarty etap to realizacja kościoła górnego – właściwego kościoła, ►



Pożegnanie odchodzącego na emeryturę ks. Jana Bukowca - 22 sierpnia 2004 rok.

► zakończona jego konsekracją w roku 1993. Brak było jeszcze tylko wież, które pismem z lipca 1998 r. zaakceptowała kuria diecezjalna w Tarnowie. „Odczuwam dużą satysfakcję i wyróżnienie, że architektoniczny pomysł, zaproponowany dla obu wież, został zaakceptowany przez ks. prał. Jana Bukowca oraz przez księży biskupów w Kurii Tarnowskiej” – wyznał arch. Leszek W. Pilawski. Był to – piąty etap, obejmujący pracę nad koncepcją architektoniczno-wykonawczą wież, rozpoczętą w lipcu 1999 r., która zamyka się ich budową w latach 2001–2003. „Budowa dwóch wież przy kościele parafialnym w Limanowej-Sowlinach – komentował dalej arch. Leszek W. Pilawski – jest zwieńczeniem gigantycznego trudu związanego z dziełem życia ks. prał. Jana Bukowca: budową nowego kościoła”. I dodał: „Po wzniesieniu wież kompozycja całej bryły kościoła jest wizualnie kompletna i ostatecznie ukończona”. – Szósty etap, związany z nowym pokryciem dachu, uporządkowaniem obejścia wokół kościoła i jego wyglądu zewnętrznego, przebudową schodów według projektu architektów: Beaty i Igora Pacanowskich z Krakowa oraz dokończeniem wyposażenia itd., kontynuuje nowy proboszcz ks. Tadeusz Śmierciak. Jego ogromne zaangażowanie widoczne jest gołym okiem, co potwierdzają parafianie i słowa arch. Leszka W. Pilawskiego: „Nie można również pominąć nieocenionego wkładu w niezbędne wykończenie elewacji i małej architektury przez ks. prob. Tadeusza Śmierciaka, który jest godnym kontynuatorem Dzieła ks. prał. Jana Bukowca”. W ten sposób poznaliśmy DZIEJE, opisujące DZIEŁO ŻYCIA zasłużonego ks. prał. Jana Bukowca i jego godnego kontynuatora ks. prob. Tadeusza Śmierciaka. Liczne wypowiedzi,

zawierające ważne wydarzenia, wypełniły lukę w odtworzeniu historii budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach i pozwoliły na wyodrębnienie zaprezentowanych powyżej 6 etapów budowy (w tym procesu historyczno-artystycznego nad projektem, realizacją i wyposażeniem wnętrza), nie mówiąc już o samej fazie wstępnej.

Wspomnienia te są specyficznym źródłem do poznania naszej przeszłości, przeszłości naszej małej ojczyzny, tym samym dziejów miasta Limanowa. Jest to bezcenny, podstawowy materiał poznawczy i historyczny, ukazujący ważny dział życia parafii w Limanowej-Sowlinach, której patron św. Stanisław Kostka wpłynął bez wątpienia na wzrost pobożności u lokalnej ludności, a w szczególności u miejscowej młodzieży. Wspomnienia te, zawierające trafne stwierdzenia, sformułowania, ilustrujące epokę i zapadające głęboko w pamięć – jak podkreśla wielu Czytelników – są epokowym, pomnikowym dokumentem, spełniającym fundamentalną funkcję, bowiem do nich będzie musiał się odwołać każdy, kto będzie chciał wiarygodnie oddać dzieje budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach. Wspomnienia te, będące próbą zarysowania ciągłości procesu historycznego wraz z innymi źródłami pozwolą w pełni zrekonstruować dzieje budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach. Mogą służyć także jako figura stylistyczna, określana mianem *pars pro toto*, czyli część za całość, tzn. jako jednostkowy przykład budowy kościoła może być odniesieniem w ogólności do budowy kościołów w ówczesnej komunistycznej rzeczywistości w PRL (jest to więc przykład, jak pamięć indywidualna może zostać przenieśniona i stać się pamięcią zbiorową). Wspomnienia



Uścisk dłoni w czasie uroczystości przekazania obowiązków administratora parafii ks. Tadeuszowi Śmierciakowi.

te wpisują się więc w szerszy kontekst polityczny i społeczny, co tym samym wynosi je do wyższej rangi, do rodzaju metanarracji o historii i dziejach Polski i budowaniu kościołów z 2 poł. XX wieku.

Wielkie podziękowania należą się w tym miejscu ks. prał. Janowi Bukowcowi, że zechciał się tymi wspomnieniami po latach z nami podzielić. Z nich korzystać będą następne pokolenia, bowiem wspomnienia te nie tylko przybliżają samą budowę kościoła, lecz uczą także dyplomacji, życzliwości, umiejętności zachowania się względem drugiego człowieka, z poszanowaniem jego godności, dobrego imienia, chociażby był światopoglądowo z przeciwnego biegunca. Mają też walor poznawczy, edukacyjny i dydaktyczny o charakterze mądrości życiowej, jak postępować w życiu z ludźmi, by nikogo nie dotknąć czy nie urazić, ale konsekwentnie dochodzić do prawdy; więcej, każdego uszanować i dowartościować. Uczą, jak żyć i pozwalać innym żyć. Nie bez znaczenia jest więc fakt, że autorem tych Wspomnień jest kapłan, pedagog, budowniczy, wychowawca, znawca wielu pokoleń limanowian, posiadający duże doświadczenie, życiową mądrość i życzliwość względem drugiego człowieka. Z tego względu wielu parafian mówi o ks. Prałacie z wielką aprobatą i sympatią: „swoją osobą”, „do tańca i do różańca”. Gdy trzeba się modlić, to się modli, gdy trzeba było świętować (po pracy), to pozwalał świętować, zachowując zwyczaje zgodnie z przyjętym w narodzie rytuałem, a więc „po swojemu” (umiał się do tego

dostosować). „Dlatego – powiedziało mi kilku rozmówców – lubimy Go i do pracy chętnie przychodziliśmy”.

Wspomnienia te, należące do swoistej kategorii źródeł historycznych, informacji jedynych w swoim rodzaju (pamiętnik, relacja, dokument mówiony, wywiad itp.), wzbogacone zostały licznymi fotografiami, wybranymi z setek fotografii utrwalonych podczas budowy kościoła przez prof. Józefa Stanisławskiego oraz reprodukcjami dokumentów pochodzących ze zbiorów Archiwum Parafialnego w Limanowej-Sowlinach, wykonanymi przez redaktora Stanisława Ociepkę i Dariusza Ociepkę. Opracowanie tych Wspomnień, którymi obdarzyli nas ks. Prałat i Jego współpracownicy, polegało na tym, że opatrzone zostały przypisami, czyli uzupełnione narzędziami badawczymi oraz odpowiednim materiałem, datami i niekiedy skwitowane mimowolnym, nasuwającym się samorzutnie komentarzem. W takim ujęciu, uzupełnione o pełną dokumentację źródłową, będą one podstawą do dalszych analiz i interpretacji, punktem wyjścia do napisania pełnych dziejów budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach, drugiego co do ważności, wielkości i pełniącego wielorakie funkcje (duszpasterskie, wychowawczo-dydaktyczne i formacyjne) kościoła w naszym mieście, bowiem kościół i jego zaplecze to także instytucja kulturalna, odgrywająca poza funkcją duszpasterską w dzielnicy (niegdyś robotniczo-fabrycznej) Sowliny ogromną, niezbywalną rolę. Bez tych Wspomnień napisanie pełnych dziejów parafii i kościoła w Limanowej-Sowlinach byłoby niemożliwe, jak niemożliwe byłoby napisanie pełnych dziejów miasta Limanowa.

Zakończenie

Już na zakończenie trzeba jeszcze dodać, iż brak kościoła w Sowlinach, niegdyś robotniczo-przemysłowej dzielnicy Limanowej, przypomina w jakimś stopniu (naturalnie, że w o wiele większych i dramatyczniejszych jeszcze rozmiarach, niż miniaturowe w tym kontekście i spokojniejsze w swych działaniach w dochodzeniu do własnego kościoła Sowliny) dzieje Nowej Huty, przemysłowej dzielnicy Krakowa, borykającej się przez lata całe o zezwolenie na budowę kościoła, która dzięki usilnym staraniom i wsparciu ks. abp. Karola Wojtyły, ówczesnego Metropolity Krakowskiego, o 10 lat wcześniej niż Sowliny, bo w 1965 r., otrzymała pozwolenie na budowę kościoła, wznosząc go przez dekadę całą w latach 1967–1977¹⁵.

Podsumowując trzeba jasno i wyraźnie podkreślić: Sowliny (czyt. ludność), mając dogodne warunki socjalne, mieszkaniowe itd., ale nie mając (dogodnych warunków lokalowych do sprawowania liturgii Mszy św. i pozostałych nabożeństw dla wszystkich parafian, jednym słowem) odpowiedniego kościoła, oddychały tylko jednym, zdrowym płucem. Potrzebne im było drugie zdrowe płuco, by móc w pełni oddychać (mieć pełne warunki do pełnego rozwoju, także duchowego). Myślę, że po zbudowaniu kościoła w latach 1979–1993/2003, który zastąpił starą, zmurszałą, ciasną kaplicę, Sowliny oddychają obydwojma, zdrowymi płucami, bowiem kościół, jako budynek użyteczności publicznej, uważany za ważny społecznie monument, nadający sens życiu wspólnotowemu, jako wiodący estetycznie punkt odniesienia względem powszechnej architektury codziennej, jest niezbędnym ogniwem w zdrowym, dobrze funkcjonującym organizmie miejskim. Myślę, że jest on jeszcze CZYMŚ WIĘCEJ, co tak wielu podkreślało, a tak pięknie wyraził ostatnio mgr inż. Franciszek Michałek, ▶

► kierownik budowy kościoła, puentując to w następujących słowach: „Po latach trudów i wyrzeczeń, marzenia ks. Prałata i mieszkańców parafii Limanowa-Sowliny spełniły się – kościół został wybudowany”, stając się widowym znakiem obecności niewidzialnego Boga.

Postscriptum

Od dawna myślałem o przeprowadzeniu rozmowy z ks. prał. Janem Bukowcem na temat Jego duszpastorzowania, rektorowania, proboszczowania, a przede wszystkim starań o budowę kościoła i samej jego budowy. Ale jak to w życiu często bywa, myślimy o czymś, ale w rezultacie odkładamy to na późniejszy termin. I tak było w tym przypadku. Jednak po śmierci mojej Mamusi Genowefy w lutym 2015 r., gdy po tygodniu od Jej śmierci cała Rodzina zgromadziła się ponownie, tym razem na plebanii w Limanowej-Sowlinach, gdzie ks. prał. Jan Bukowiec z własnej inicjatywy odprawił Mszę św. za duszę śp. Zmarłej, w rozmowie z ks. proboszczem Tadeuszem Śmierciakiem doszedłem do konkretyzacji postanowienia: Robimy wywiady wspomnieniowe z ks. Prałatem Janem Bukowcem. To ks. prob. Tadeusz Śmierciak jest katalizatorem tych wywiadów. Mobilizował mnie i dyscyplinował, aby te wywiady doszły do skutku. Przyjeżdżałem więc z Krakowa na godz. 8³⁰ do Sowlin i brałem udział we Mszy św. odprawianej przez ks. prał. Jana Bukowca, a następnie zasiadając do rozmowy z ks. Prałatem kończyliśmy je ok. godz. 12 lub 13. I tak w dniach 20 i 27 listopada, 5 i 30 grudnia 2015 r. oraz 04 stycznia 2016) w pięciu odsłonach-spotkaniach powstały wspomnienia o budowie kościoła w Limanowej-Sowlinach. Wcześniej, bo w czerwcu i lipcu spotykałem się z ks. Prałatem i robiłem wywiad na temat jego wspomnień dotyczących Koronacji Piety Limanowskiej i kaplicy szpitalnej.

Przy okazji spotkań z ks. Prałatem postanowiłem porozmawiać również z tymi osobami, które ks. Prałat wymieniał i wspominał, a które miały znaczący wpływ na przebieg budowy. Byłem więc u Państwa: Garcarzów, Michałków, Pilawskich, Widomskich i innych. Zarówno wypowiedzi pp. Jadwigi i Władysława Garcarz, p. Franciszka Michałka, p. Leszka W. Pilawskiego jak i p. Jana Widomskiego są potwierdzeniem słów ks. Prałata, ukazując czasy budowy

kościół z punktu widzenia ich profesji i nie tylko. Niewątpliwie wzbogacają i doprecyzowują one wiele ustaleń, a w dialogu ten dwugłos dopełnia je kontekstualnie; są one ze sobą nierozzerwalnie związane i współzależne, stanowią więc pełnię i jedną całość. Ks. Prałat, patrząc również z własnej perspektywy, ale ujmując to wszystko i obejmując wszystkich i wszystko razem, otrzymał całościowy obraz. Z wielkim oczekiwaniem na ten deskrypcyjny materiał czekał za każdym razem wydawca „Echa Limanowskiego” p. red. Stanisław Ociepka, który wraz z synem Dariuszem przygotowywał materiał do wydania, wzbogacając go zdjęciami, wykonanymi m.in. przez prof. Józefa Stanisławskiego lub reprodukując stosowne dokumenty. Czytając studium pióra Zbigniewa Sułkowskiego¹⁶ wraz z niniejszą publicystką¹⁷ mogliśmy zapoznać się z dziejami budowy kościoła w Limanowej-Sowlinach (z wielorakimi problemami, związanymi z uzyskaniem pozwolenia, jego programem budowlanym, całym sztabem (inżynierjno-technicznym, architektonicznym i artystycznym) i cyklem realizacyjnym. „Dzięki szczegółowym opisom wydarzeń z czasów budowy, wspominanych przez ks. Prałata – pisał w swej *głosie* arch. Leszek W. Pilawski – historia powstania nowego kościoła w bardzo ciekawym wywiadzie z ks. Prałatem i wypowiedziach pozostałych osób, w pięknym stylu została uwieczniona [...] na kartach „Echa Limanowskiego”.

Wszystkim, z którymi rozmawiałem i tym, którzy w jakiś sposób przyczynili się do tego, że nasz kościół jest piękniejszy, a nasza wiedza o budowie kościoła w Limanowej-Sowlinach jest pełniejsza i bogatsza, Redakcja „Echa Limanowskiego” składa najserdeczniejsze podziękowania. Gdyby ktoś zechciał owe wspomnienia uzupełnić własnymi (wzbogacającymi naszą wiedzę), niech napisze i prześle na adres Redakcji „Echa...”. Z góry za te listy Państwu dziękujemy. Ważniejsze fragmenty mogą być wykorzystane w publikacji.

Fotografie: arch. parafii w Sowlinach

¹ Za: J.Sz. W r o ó s k i , *Kościół Krakowa zbudowane w latach 1945–1989, jako wyraz przemian architektury sakralnej w Polsce na tle rozwoju architektury na świecie*, op. cit., s. 282.

² Ludność ta, honorowa, dumna i religijna, pomimo powyższych trudności, na nabożeństwa i Msze św. chodziła.

³ Zob. J.Sz. W r o ó s k i , *Kościół Krakowa*, op. cit., s. 287.

⁴ *Przyszedł na trzy miesiące, został pięćdziesiąt lat*, z ks. prał. Janem Bukowcem rozmawiali: Lilla Kubacka-Pyrc i Leszek Mordarski, „Mater Dolorosa”, nr 1(7) 2014, s. 10–11.

⁵ Konrad K u c z a - K u c z y ń s k i , *Nowe kościoły w Polsce*, Warszawa 1991 (tekst, s.1).

⁶ Cyt. za: J.Sz. W r o ó s k i , *Kościół Krakowa*, op. cit., s. 277–278.

⁷ Cyt. za: *Wspomnienia z budowy naszego kościoła*, „Głos Matki Kościoła”, nr 3, maj 2002, s. 6.

⁸ Mimo pewnie tłących się obaw i niepokojów, jakie miał, jak sądzę, idąc w nowe miejsce, ks. Prałat westchnął do Boga, bowiem *Bez Boga ani do proga*.

⁹ Por. J.Sz. W r o ó s k i , *Kościół Krakowa*, op. cit., s. 281.

¹⁰ Por. Sylwester R ę k a s , *Limanowszczyzna „Dobrze rządzone powiat”*. Opracowanie monograficzne powiatu limanowskiego, Limanowa 2014, s. 265.

¹¹ Jan Paweł II za Piotrem Skargą.

¹² J.J. B r a u n , *Parafia buduje kościół*, „Niedziela” nr 49/1983, s. 4.

¹³ Za: Mgr inż. Franciszek Michałek kierownik budowy. Wypowiedź z dnia 20 lipca 2016 roku.

¹⁴ Wychodząc ze spotkania z I sekretarzem – powiedział ks. Prałat – spotkał mnie II sekretarz, pan Czesław Dudek i powiedział: *Trzeba częściej do nas przychodzić*, a ks. Prałat na to z uśmiechem, ale też i z przekąsem, odparł: „ale Lenin zabronił”. Z tego kontekstu wynika wyraźnie, że ks. Prałat żartując, ujawnił tym samym bezpośrednio, że był rozmową z I sekretarzem Rączką bardzo podbudowany, a z rozmowy kontent, jednym słowem, zadowolony.

¹⁵ Zob. J.Sz. W r o ó s k i , *Kościół Krakowa*, op. cit., s. 116–131.

¹⁶ Z. Sułkowski, *Parafia pw. św. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach (1980–2000)*, op. cit., s. 480–486.

¹⁷ Obala ona stary, pokutujący w niektórych środowiskach naukowych, lepiej powiedzieć scjentyzycznych, prymitywny, nieprawdziwy mit, że literatura ta w badaniach naukowych jest mało przydatna (co jest ewidentną bzdurą, może u podstaw takiej postawy leży pycha (pamiętajmy o tym, że *pycha z nieba spycha*). Wręcz przeciwnie: Literatura ta jest bardzo przydatna jako źródło do badań nad trudnymi i mało znanymi dziejami, jakim była budowa kościołów w okresie PRL, a poza tym jest świadectwem recepcji – jak zauważył jeden z profesorów krakowskich po przeczytaniu 3 odcinków *Wspomnień w „Echu Limanowskim”* – szerokiego zainteresowania wielu środowisk tą pod wieloma względami ciekawą budową i uszanowaniem chociażby najmniejszej cząsteczki pracy, która w tym kościele została przez księży, fachowców i miejscową ludność pozostawiona – zakłeta w jego murach..

Cmentarz w Limanowej

Łukasz Połomski

Mijają 74 lata od wymordowania Żydów limanowskich. Pozostały po nich wspomnienia i wyblakłe fotografie. Nieopodal centrum miasteczka znajduje się cmentarz żydowski. Ostatni, niemy świadek tragedii limanowian.



Kirkut, cmentarz żydowski w Limanowej.

Limanowski cmentarz był ważnym miejscem dla lokalnej społeczności żydowskiej. Wynikało to z przepisów religijnych. W świadomości chrześcijańskich sąsiadów funkcjonował jako „kirkut”. W Polsce, w zależności od regionu możemy także usłyszeć nazwę: kierkut, kierkow, kerchoł pochodzącą od niemieckiego słowa Kirchhoff – dziedziniec kościelny, co dla wielu Żydów było nawet obraźliwe. Inną, stosowaną nazwą było „okopisko”, zaś w języku hebrajskim „Bejt Olam” – dom wieczności; „Bejt Chaim” – dom życia; „Bejt Kwarot” – dom grobów.

Cmentarz w judaizmie jest miejscem świętym. Zgodnie z prawem religijnym zakłada się go na wieczność, a spoczynek ciała jest nienaruszalny. Każda osoba, która dostaje miejsce na cmentarzu, dostaje je tylko dla siebie, stąd grób jest miejscem spoczynku tylko jednej osoby, a nie jak w naszej tradycji całych rodzin. Żydzi, podobnie jak chrześcijanie, wierzą w zmartwychwstanie ciał, stąd taka dbałość o nekropolie. To są miejsca ważne, ale równocześnie nieczyste religijnie, dlatego Żydzi pojawiają się na cmentarzu tylko na pogrzebach. Potem przybywają, aby odwiedzić w rocznicę śmierci grób zmarłego członka rodziny lub sławnego rabina.

Limanowski kirkut został założony w XIX wieku, jak większość w okolicy. Wcześniej Żydzi musieli udawać się z pogrzebami do Nowego Wiśnicza oraz Nowego Sącza. Cmentarz powstał na skarpie przy ul. Kolejowej, a lokalizacja kirkutów na pagórkach i wzniesieniach była popularna w naszym terenie. W podobnym okresie, również na wzgórzach nieopodal miasta, utworzono

żydowskie nekropolie w Muszynie oraz w Krynicy. Tak odległe miejsce wynikało także z zakazów władz miasta, aby nekropolia nie znajdowała się w pobliżu centrum Limanowej. Podobnie było w innych miastach regionu. Na lokalizację istotny wpływ miały także przepisy religijne, bowiem zgodnie z przepisami Talmudu babilońskiego cmentarz musiał się znajdować poza obszarem miasta – 50 łokci (ok. 25 metrów) od najbliższych domów. Najważniejsze jednak, aby nagrobki nazywane macewami były kierowane na wschód, w stronę Jerozolimy. Początkowo stawiano nagrobki drewniane, a dopiero w XIX wieku pojawiały się kamienne. Macewa była fundowana dokładnie na rocznicę śmierci. Podobnie było w Limanowej, gdzie Żydzi zamawiali je u krakowskich i nowosądeckich kamieniarzy. W swojej bogatej symbolice zawierały piękne detale, będąc niemal dziełami sztuki. W miastach regionu – Nowym Sączu, Bobowej, Gorlicach – budowano ohele, a więc kaplice nagrobne dla wielkich rabinów i mędrców.

Tak naprawdę, nie tylko uczeni byli wyróżniani po śmierci. W tradycji żydowskiej, ciało zmarłego zostaje przypisane do pewnej grupy, w której on na ziemi funkcjonował. I tak zapewne w Limanowej istniały osobne kwatery dla mężczyzn i kobiet, dzieci, niemowląt, panien i mężatek. Tylko małżonkowie



Limanowscy Żydzi w kondukcje pogrzebowym.



Kolumna Żydów w czasie okupacji na ulicy Krakowskiej w Limanowej.

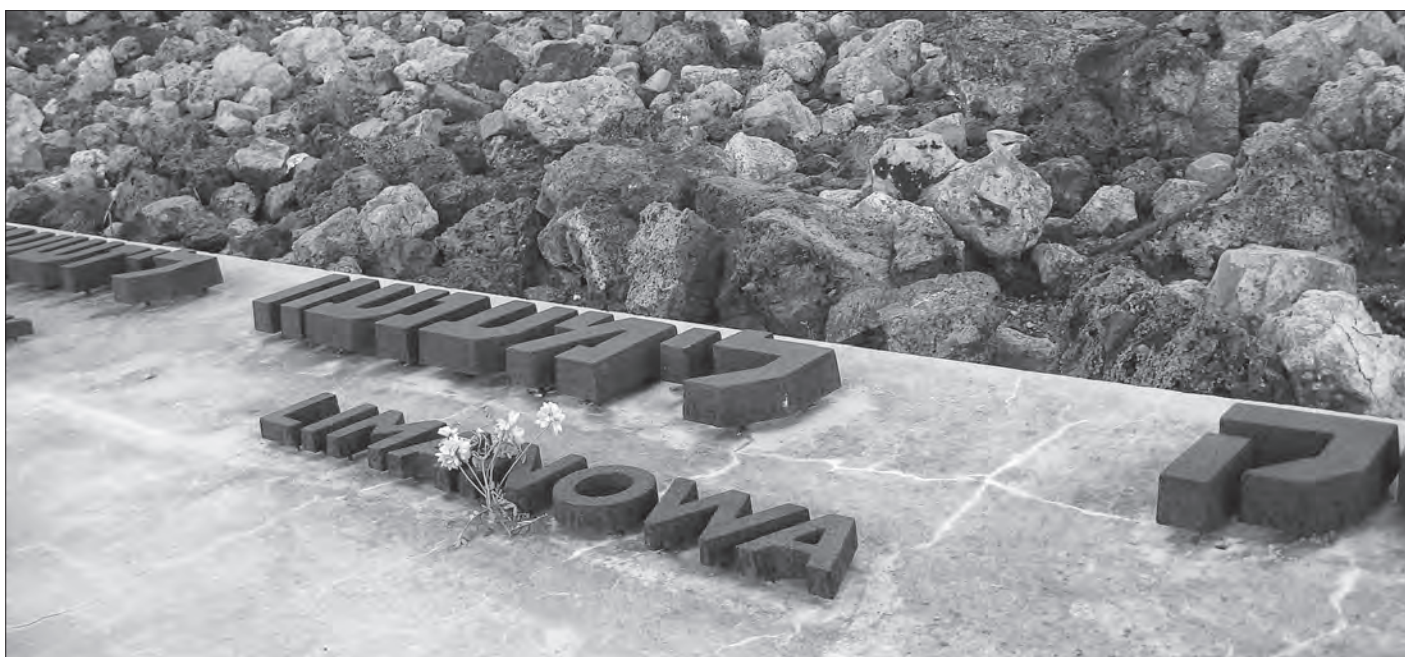
mogli spocząć obok siebie. Samobójcy spoczywali pod płótem, zaś heretycy i odszczepieńcy od wiary za płótem. Nie wolno było pochować złoczyńców obok sprawiedliwych. W osobnych miejscach zakopywano również wyposażenia synagog, na przykład zniszczone zwoje Tory.

Ze starych zdjęć z Limanowej wyłaniają się kondukty żałobne Żydów, które przemierzają ulice miasteczka. Rytuał pochówków różnił się od znanych powszechnie, chrześcijańskich. Zmarłego, po rytualnym obmyciu zwłok, wyprowadzano w ostatnią drogę z domu przed pogrzebowego (Bejt tahara), mieszczącą się również na cmentarzu. Obmycia

mężczyzn dokonywali mężczyźni (minimum cztery osoby), kobiet – kobiety, przy czym nie mogli to być bliscy członkowie rodziny zmarłego ani osoby z rodziny Kohenów (potomków kapłanów świątyni jerozolimskiej). Ponieważ najbliższa rodzina wyłączona była z przygotowań do pogrzebu pogrążając się w żałobie, wszystkimi formalnościami związanymi z pochówkiem i przestrzeganiem zasad obowiązujących po śmierci Żyda zajmowało się specjalne bractwo pogrzebowe Chewra Kadysza. Udział w tym bractwie był dobrowolny, bezpłatny i stanowił wielki zaszczyt. Takie bractwo zapewne funkcjonowało w Limanowej.

W czasie wojny Niemcy nakazywali chować Żydów w masowych grobach przy ul. Kolejowej. Zginął tam m.in. Schintzer ze Słopnic, który był prezesem Judenratu (Rady Żydowskiej). Na polecenie Baumacka, kata Limanowej, prezes miał wskazać 20 Żydów do egzekucji. Na oddanej liście zapisał jednak 19 nazwisk. Baumack nakazał mu uzupełnić natychmiast listę, a Schintzer, bez zastanowienia wpisał swoje nazwisko. Wobec tego postanowiono całą 20 rozstrzelać pod murem na ul. Kilińskiego. Wówczas stała się rzecz niebywała, bowiem żona prezesa Judenratu powiedziała Baumackowi, że chce zginąć razem z mężem. Objęła go. Baumack najpierw zastrzelił prezesa, a potem jego żonę. Wspominał Marian Sopata: *„Wiosną w Limanowej rozstrzelano kilku przedstawicieli starszyny żydowskiej, a ich ciała przewieziono demonstracyjnie przez całe miasto na drabiniastym wozie, nakazując rodzinom pomordowanych udział w tym makabrycznym pochodzie, którego drogę znaczyła krew od maślanego rynku do kirkutu”*. W wyniku licznych egzekucji limanowski cmentarz stał się masowym grobem. We wspomnieniach Konińskiej czytamy: *„Na cmentarzu każą im się położyć na ziemi, twarzą do gleby. Strzał w kark, w plecy. Ranna narzeczona czołga się ku narzeczonemu, który wydał już ostatnie tchnienie. (...) Później gestapowcy kładą ich twarzami już pobladłymi ku jasnemu słońcu”*.

Kolejną tragiczną historią jest egzekucja najpiękniejszych limanowskich



W obozie zagłady w Bełżcu. [Fot. Leopold Kucharczyk]

Żydówek. Wszystko zaczęło się od sióstr Ednerównien, które uciekły z getta, aby kupić sobie jałówkę. Kiedy Baumack się o wszystkim dowiedział, aresztował 16 zamieszanych w to Żydów, w tym Ednerówny. Wszyscy dostali po 25 batów. 18 maja 1942 r. wyprowadzono ich w stronę stacji kolejowej, kiedy nagle nadjechało auto policyjne. Padł strzał i wszyscy się porozbiegali. Niemcy część z uciekających zastrzelili, ale Ednerówny schowały się pod skarpią. Trupy pochowano na cmentarzu żydowskim, zaś krew przed stacją kolejową przysypano piaskiem. W zamian za Ednerówny, wściekły Baumack aresztował 12 najpiękniejszych limanowskich Żydówek. Wśród nich znalazła się studentka filozofii Sara Blech, którą miał na oku żandarm i volksdeutsch z Bielska, Pisch. Traf chciał, że w Limanowej były dwie Sary Blech. On aresztował bez wiedzy swojego szefa tę inną, „brzydszą”. Tymczasem limanowski „pan życia i śmierci” dał 24 godziny Ednerównom na zgłoszenie się i uratowanie pozostałych. Kiedy czas minął, policjanci odprowadzili żydowskie piękności na cmentarz. Wtedy Baumack zorientował się co do Sary Blech i kazał przyprowadzić sobie właściwą – pięknieszą. Wszystkim aresztowanym kazał się położyć na ziemi, a policjantom strzelać. Pisch miał zastrzelić swoją Sarę. Chybił, ręce mu drżały. Baumack go skarcił i strzelił tak, że roztrzaskał jej głowę.

Okropne są te historie, niewyobrażalne. Krew, która wsiąkła w tę ziemię ciągle krzyczy o pamięć, o modlitwę.

Niemal cała ludność żydowska, czyli połowa mieszkańców Limanowej, została wówczas zgładzona w sierpniu 1942 r. Miejscem ich pochówku stały się pola Bełżca, milczące dziś pozostałości byłego obozu Zagłady. Tam limanowianie ginęli w komorach gazowych, ich ciała potem spalono, a prochy rozsypało po okolicy. Pozostał po nich jedynie zimny, krwawiący napis: „Limanowa”. Bez imion, bez pamięci, bez modlitwy. Taką śmierć przygotował człowiek swojemu bliźniemu.

Cmentarz został zniszczony przez okupanta. Wyciągnięto nagrobki, rozbito je na części, zaś kamienie użyto do brukowania ulic. W ten sposób niemal 3/4 cmentarza przestało istnieć. Obecnie zachowało się zaledwie 20 macew, a większość z nich bardzo szybko niszczeje. Nekropolia została ogrodzona w latach 70. i 80. ub. wieku, a obecnie



Pomnik poświęcony ofiarom Holokaustu na limanowskim kirkucie.

zajmuje 0,4 hektara, więc jest mniejsza niż przed wojną.

Skandalicznym faktem jest, że po wojnie władze PRL nadal utrzymywały bruk wykonany z macew, a nawet zamieniły nagrobki na ławeczki przy rynku.

Dopiero w latach 90. odrestaurowano część macew. Wówczas na nekropolii pojawiły się dwa pomniki poświęcone ofiarom Holokaustu, wyryto na nich napis: „Dla wiecznej pamięci ludności żydowskiej i ofiar hitlerowskich zbrodni podczas lat wojennych 1939-1945 w gminach Limanowa, Tymbark, Dobra, Słopnice, Pisarzowa, Skrzydlina. Pomnik postawiony przez Leiba Gatterera z Dobrej”. Na drugim pomniku napisano: „Na wieczną pamięć dla moich kochanych: Rachel Afergut – mamusia, Chaim Afergut – dziadek, Rudel Afergut – babcia, Menachem

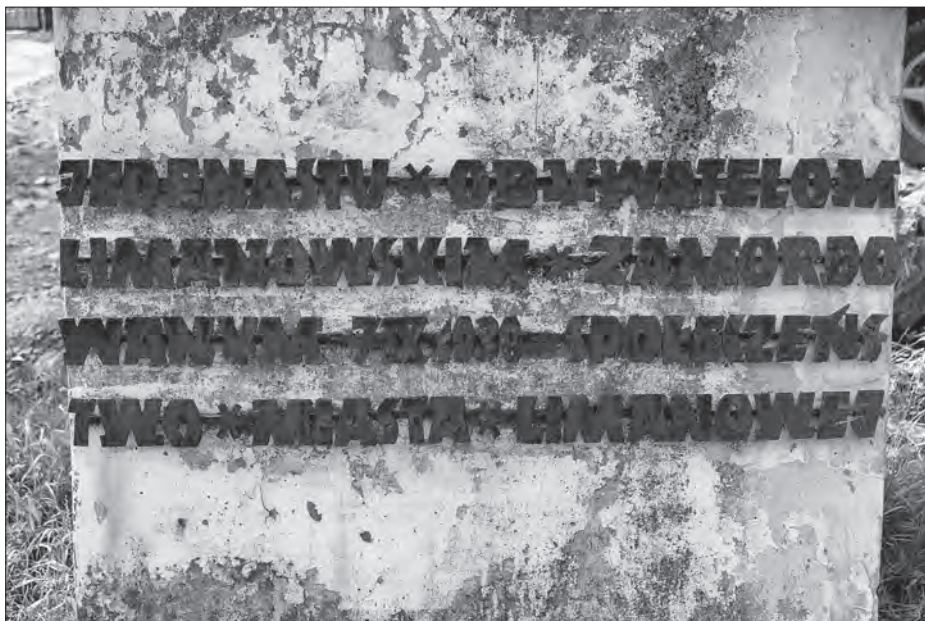
Schweid – wujek, Raizel Schweid – ciotka. Spoczywają między ofiarami z rąk morderców hitlerowskich. Pomnik postawiony przez Leiba Gatterera”.

W 70. rocznicę likwidacji getta w Limanowej na nekropolii odbyły się modlitwy za zmarłych. 23 sierpnia 2012 r. w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej otwarto wystawę poświęconą Żydom z miasteczka i okolic. Znalazło się na niej kilka archiwalnych fotografii, które przedstawiały kondukt żałobne podążające na ulicę Kolejową. Przeminały one wraz z tragicznymi wydarzeniami wojny, a cmentarz stał się jedyną pozostałością po połowie mieszkańców Limanowej...

Fotografie: arch. „EL”

Jedyny ślad pamięci pomordowanych z 1939 roku usunięty

Stanisław Ociepka



W sierpniu minęła 74. rocznica likwidacji limanowskiego getta, zlokalizowanego w rejonie tzw. „Kamieńca” wzdłuż potoku Mordarka. Od tej chwili niemal cała ludność żydowska, czyli połowa mieszkańców Limanowej, przestała istnieć.

W lipcu br., decyzją władz gminy Limanowa, zlikwidowano pomnik - jedyny ślad pamięci pomordowanych z 1939 roku - poświęcony ofiarom pierwszej egzekucji dokonanej 7 września po wkroczeniu do Limanowej Niemców.

Pomnik ten był jedynym w rejonie naszego miasta, który upamiętniał teren zbrodni na Żydach limanowskich. Niestety wiele innych miejsc straceń Żydów zarówno w samym mieście jak i w jego okolicy nie doczekało się upamiętnienia chociażby skromną tablicą.

Są to: przysiółek w Starej Wsi – Pożary, Sowliny – Przylaski, mur w rejonie ul. Kilińskiego (rejon getta), rejon cmentarza żydowskiego przy ul. Kolejowej, Dębina w Sowlinach.

Dziś przechodzimy obok tych miejsc obojętni (być może nieświadomi), tak jakby w przeszłości nic się tu nie wydarzyło, a przecież rozgrywały się tam ludzkie tragedie.

Dla uszanowania godności człowieka, współcześnie żyjący zobowiązani są otoczyć opieką miejsca zbrodni dokonanych na mieszkańcach miasta i zachować ich w pamięci. Tak jednak się nie dzieje.

Jaka jest historia pierwszej zbrodni hitlerowskiej na mieszkańcach Limanowej?

Kto i kiedy podjął decyzję o jej upamiętnieniu?

Na ten temat pisał Jan Wielek w „Echu Limanowskim” w artykule pt. „Limanowski wrzesień 1939” („EL”, nr 240 – 241, wrzesień – październik, 2014r.).

(...) Zaraz po wkroczeniu do Limanowej Niemców, w budynku plebani zainstalowała się jakaś ważna komisja, czy komenda wojskowa, która nałożyła na gminę żydowską wysoką kontrybucję wojenną.

Ponieważ Żydzi nie wywiązali się z roszczeń, dwa dni po zajęciu miasta, czyli 7 września 1939 r., załadowano na wojskowy samochód 12 najbogatszych limanowskich Żydów, skazując ich na rozstrzelanie. W ich obronie stanął szanowany obywatel Limanowej, mistrz kominiarski – Jan Semik, którego Niemcy zapędzili na samochód i dołączyli do skazanych. Wywieziono ich do małego kamieniołomu w Mordarce – Cieniawie i tam rozstrzelano. Miejsce to znajduje się na północnych stokach Jabłońca, w pobliżu szosy

Limanowa – Nowy Sącz.

Świadkiem zbrodni był mieszkający w pobliżu gospodarz, Wojciech Sukiennik. Gdy po odjeździe Niemców udał się na miejsce egzekucji, zauważył, iż jedna z ofiar żyje. Przetransportował ją w obręb swojego gospodarstwa i poznawszy powiadomił o tym fakcie limanowskich Żydów. Nocą przewieziono go potajemnie do miasta.

Z miejsca zbrodni wykradzione zostało również ciało katolika Jana Semika. Ukryto je początkowo w stodole gospodarza Józefa Janczego, a następnie, obwinęte dla niepoznaki słomą, ukryto w zaroślach pobliskiego potoku. Pilnował je tam wierny jego pies. Potem pod osłoną nocy zostało przewiezione i pochowane na limanowskim cmentarzu parafialnym. Wiele lat później, w czasie pogrzebu Józefa Janczego, uroczyste o tym świadczył syn pomordowanego, karmelita O. Łukasz Semik.

O tym wydarzeniu i Janie Semiku w oparciu o relację jego córki Teresy Ryś, pisała również Jolanta Bugajska. W artykule „Losy ludzkie” („EL” nr 98, wrzesień 2002 r.), tak wspomina tamte lata: (...) Był wrzesień 1939 r. Jan Semik siedzi na progu kamienicy przy obecnej ul. Kościuszki 8. Widzi, jak Niemcy aresztują Żydów. Kopia ich przy tym, biją, lżą. Semik nie może na to spokojnie patrzeć. Nie zna podziału na Polaków i Żydów. Wszyscy przecież żyją obok siebie, rozmawiają, przyjaźnią się, tworzą jedną społeczność. Widząc ludzką krzywdę, próbuje interweniować. Ponieważ dobrze włada niemieckim (jego matka z rodziny Taików, miała pochodzenie niemieckie), usiłuje przekonać Niemców, że na pewno się pomylili. Aresztują przecież porządnych ludzi. Jest przekonany, że to niefortunna pomyłka. Sądzi, że Niemcy wysłuchają go i zrozumieją swój błąd. Ci jednak nie wdając się w żadne dyskusje, aresztują Jana Semika razem z Żydami.

(...) W miejscu, gdzie obecnie znajduje się plebania, swoją siedzibę miał sąd niemiecki. Zofia Semik udaje się tam, aby prosić o ułaskawienie męża. Zabiera z sobą sześciomiesięczną córeczkę – Teresę. Ma nadzieję, że w ten sposób uprosi zwolnienie więźnia. Jej starania nie przynoszą



Wojska niemieckie na limanowskim rynku.

jednak żadnego rezultatu. Widzi jak męża wraz z aresztowanymi Żydami wsadzają na samochód. Jan Jakub Semik zwraca się w stronę kościoła i mówi do żony: „Zosiu! Pamiętaj o wychowaniu dzieci!”. To jego ostatnie słowa. Rozwścieczony Niemiec uderza go kolbą w głowę.

(...) Przykład ojca nauczył mnie, że ważne jest to, czy człowiek jest uczciwy i dobry, a nie jakiej jest narodowości – powie po latach córka Teresa Ryś (nauczycielka z wykształcenia – przy. red.). W każdą rocznicę zamordowania ojca będzie z uczniami odwiedzać postawiony w kamieniołomie na Jabłońcu krzyż. Później pomordowani doczekają się w tym miejscu pomnika (...).

Od zapomnienia o pierwszej zbrodni hitlerowskiej popełnionej na limanowskich Żydach i Janie Semiku 7 września 1939 roku uchroniła mieszkanka wsi Mordarka, Zofia Szumilas, kierowniczka istniejącej niegdyś Szkoły Podstawowej nr 2 w Mordarce – Podjabłońcem, później nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 1 w Limanowej.

Jak wspomina, wspólnie z dziećmi usypała w miejscu egzekucji mały kopczyk, umieszczając na nim prosty brzo-zowy krzyż i tabliczkę wykonaną przez kowala Szczepana Szumilasa.

W miejscu tym, corocznie, we wrześniu, gromadziła dzieci ze swej szkoły – słuchały one opowieści, śpiewały,

modliły się. Na koniec spotkania zawsze odśpiewano hymn. Później wraz z dziećmi, zwróciła się do ówczesnego ZBOWiD o wybudowanie pomnika. Pomnik taki powstał i posadowiony został przy szosie Limanowa – Nowy Sącz. Odślonięto go w 1978 roku. Na jednym z jego elementów był napis: „Jedenastu – Obywatelom – Limanowskim – Zamordowanym – 7 września 1939 – Społeczeństwo – Miasta – Limanowej”.

I tak stał ten pomnik przez 38 lat niszcząc, aż do lipca 2016 r. kiedy to władze samorządowe gminy Limanowej podjęły decyzję o jego zburzeniu.

Mówi się i pisze, że pomnik zostanie odbudowany w przyszłym 2017 roku. Ma to być nieforemny granitowy głaz ogrodzony słupkami i łańcuchami z napisem o tej samej treści jak na tym zburzonym. Usytuowanie jego ma być prawie w tym samym miejscu, nieco bliżej drogi biegnącej z Limanowej do Nowego Sącza.

Jednak czegoś tu nie rozumiem.

Dlaczego przyspieszono likwidację niszczącego pomnika stojącego tam przez tyle lat, kiedy brak jest pieniędzy na jego odbudowę?

Bardziej trafiającym do przekonania społeczeństwa byłoby uzasadnienie stwierdzające, że pomnik został zniszczony przez upływ czasu, jego symbolika nie jest adekwatna do obecnej rzeczywistości, a więc burzymy go i w jego miejsce stawiamy nowy.

Tak się nie stało i wielu mieszkańców to irytuje.

Fotografie: arch. „EL”



Pomnik pamięci ofiar września 1939 roku.



Miejsce, w którym stał pomnik.

Śpiewaj i wędruj

Adam Mazuga

„Śpiewaj i wędruj” – przesłanie św. Augustyna, to motto uroczystości 25-lecia Chóru Chłopięcego Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej.

Słowa te są wykładnią działalności zespołu chóralnego w ciągu ćwierćwiecza jego istnienia. Te lata to tysiące godzin prób członków chóru – chłopców limanowskich szkół i P. Dyrygent, przeznaczonych na doskonalenie umiejętności i naukę pieśni chóralnych. To setki prezentacji podczas lokalnych uroczystości religijnych i świeckich w Limanowej, najbliższej okolicy i całym kraju. To tysiące kilometrów przejechanych drogami Europy na koncerty, promocje, spotkania i kongresy chóralne oraz zwiedzanie. To bezpośrednie spotkania z Ojcem Świętym Janem Pawłem II w czasie audiencji indywidualnych /1998, 2003/ i śpiew liturgiczny podczas Jego obecności w Polsce /1997, 1999/, spotkanie kongresowe z Ojcem Świętym Franciszkiem w Rzymie i Watykanie na przełomie 2015/2016 r. Szerokim echem odbiły się wielokrotne koncerty chóru we Włoszech, Watykanie, San Marino, Francji, w Niemczech, Słowacji, Czechach, Austrii, na Węgrzech, Ukrainie, Litwie, Białorusi, także w Rosji m. in. w Smoleńsku.

Trudno tu wymienić wszystkie wyjazdy i występy zespołu na terenie Polski, znaczące były spotkania z wybitnymi osobistościami i świadkami wielkich wydarzeń i uczestnictwo w obchodach rocznicowych, że wspomnę spotkania z P. Prezydentową Kaczorowską, Anną Anders – córką generała Andersa, uroczystości katyńskie, 330. rocznicę Odsieczy Wiedeńskiej w Wiedniu, rocznice polskich i lokalnych potyczek o wolność Polski, także lokalne Święta Miasta Limanowa i uroczystości wojewódzkie.

Wielkimi wydarzeniami dla członków chóru było wykonanie „Requiem” W. A. Mozarta /2001/, „Oratorium Kalwaryjskiego” B. Gliniaka i Z. Książka /2009, 2015/, utworu „Ego Mater”, wspólnie z Orkiestrami Filharmonii Kaliskiej, Śląskiej, Młodej Filharmonii Krakowskiej, chóru bernardyńskiego, Krakowskiej Orkiestry PR, czy też zespołu Państwowej Szkoły Muzycznej z Limanowej. Wszystkie te przedsięwzięcia możliwe były dzięki założycielce zespołu chóralnego (1990/1991 r.) p. Halinie Dyczek – absolwentce Akademii Muzycznej w Krakowie oraz Podyplomowego Studium Chórmistrzowskiego i Kursów Dyrygenckich.

Patronat Honorowy uroczystości 25-lecia objęli: ks. bp Andrzej Jeż – biskup tarnowski, Jacek Krupa – marszałek woj. małopolskiego.

Współorganizatorem – Miasto Limanowa, Partnerem – Województwo Małopolskie.

Na okoliczność Jubileuszu, List Gratulacyjny do Jubilatów skierował Prezydent RP Andrzej Duda, w którym

pisze m. in.: „Pragnę przekazać serdeczne gratulacje i pozdrowienia z okazji srebrnego Jubileuszu działalności Chóru Chłopięcego Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. (...) Słowa uznania kieruję do Pani Dyrygent i wszystkich, którzy przyczyniają się do rozwijania talentów wokalnych dzieci i młodzieży. Dziękuję za tę bardzo istotną formację wychowawczą i kulturową. (...) Cieszę się, że tworzycie wspólnotę, która pięknym głosem niesie nasze polskie i chrześcijańskie dziedzictwo. Warto poznawać repertuar pieśni sakralnych i patriotycznych, by umacniać ducha, by pomagać innym zrozumieć historyczny i duchowy sens zbiorowych losów naszej narodowej wspólnoty. (...) Życzę, by obecni i przyszli chórzyci, podążając śladami wielkich Polaków, stawali się coraz bardziej ambasadorami naszej Ojczyzny”.

Biskup Tarnowski Andrzej Jeż w liście do Jubilatów pisze m.in.: (...) „W bogatej działalności Waszego Chóru najważniejszą była i jest chwała wyśpiewywana Bogu podczas liturgii. Jako Pasterz Kościoła tarnowskiego, jestem Wam szczególnie wdzięczny za troskę o piękno liturgii. (...) Na kolejne lata owocnej działalności Chóru, życzę wszystkim współtworzącym go, nieustannego odkrywania coraz to nowych przestrzeni Bożego piękna, głębokiego zakorzenienia w liturgii Kościoła oraz obfitości Bożych darów, które niech inspirują i pobudzają w dalszym twórczym działaniu na chwałę Boga i ku czci Bogarodzicy Maryi”.

Kulminacyjnym momentem uroczystości jubileuszowych 25-lecia była uroczysta Msza święta. Przewodniczył jej



i homilię do Jubilatów, zgromadzonych gości, zebranych wygłosił ks. prałat dr Robert Tyrała – prezydent Międzynarodowej Federacji PUERI CANTORES. Obecni byli także ks. prof. Andrzej Zając – honorowy prezydent Polskiej Federacji PC, ks. Stanisław Adamczyk – dyrygent chóru Pueri Cantores w Bochni, ks. Artur Ważny – jeden z pierwszych opiekunów kościelnych chóru, ks. Grzegorz Piekarczyk – dyrygent chóru PC z Tarnowa, ks. Piotr Radzikowski – członek Zarządu PFPC, ks. Rafał Nowak – były chórzysta, ks. prałat Wiesław Piotrowski – proboszcz Parafii Limanowa.

Po Mszy świętej, w Bazylice odbył się „Koncert Jubileuszowy”. Prezentowana była III Litania Ostrobramska Stanisława Moniuszki. Oprócz chóru – Jubilata, współwykonawcami byli: Chór Pueri Cantores Cracovienses Muzycznej Szkoły Archidiecezjalnej w Krakowie pod kierownictwem Wiesława Delimata, Orkiestra Państwowej Szkoły Muzycznej I i II st. w Nowym Sączu pod kierownictwem Stanisława Welanyka, soliści: Magdalena Pikula – sopran, Małgorzata Dębowska – mezzosopran, Szymon Fecica – tenor, Andrzej Biegun – bas. Całością dyrygowała Jubilatka – Halina Dyczek.

Litanie Ostrobramskie /I-IV/ stanowią 4 utwory religijne powstałe w latach 1843-1855 w Wilnie. Napisane na chór mieszany z towarzyszeniem orkiestry i solistów. Są to kantaty z elementami religijnych śpiewów ludowych. Skomponowane przez Stanisława Moniuszkę na cześć Najświętszej Marii Panny Ostrobramskiej. Utwory zachwycają kunsztem artystycznym



i brzmieniem. Są formą osobistej i refleksyjnej modlitwy kompozytora związanego mocno ze środowiskiem, sytuacją w kraju i Ostrą Bramą.

W kościele pełnym słuchaczy, koncert zakończył się gromkimi brawami na stojąco. Niewątpliwie było to jedno z bardziej znaczących wydarzeń kulturalnych w Limanowej w bieżącym roku.

Jubileusz to nie tylko uroczystości kościelne, ale także możliwość „spotkania pokoleń”, podsumowanie działalności zespołu. To także okazja do wręczenia odznaczeń i wyróżnień.

Podczas spotkania w Domu Pielgrzyma otrzymali je:

– odznaczenie państwowe: Złoty Krzyż Zasługi – Halina Dyczek, za zasługi dla kultury polskiej. Dekoracji dokonał Paweł Mucha – dyrektor generalny Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego.

– odznaczenia wojewódzkie: Medal „Polonia Minor” – Kazimiera Wrona, za wzbogacanie życia kulturowego Małopolski i pobudzanie wrażliwości artystycznej regionu. Medal wręczyli: Urszula Nowogórska – przewodnicząca sejmiku woj. małopolskiego i Grzegorz Biedroń – radny województwa. Brązowy Medal Honorowy „Za Zasługi dla Województwa

Małopolskiego” – Adam Mazuga, za aktywną działalność społeczną, propagowanie turystyki, znaczącą rolę w ukazaniu piękna i potencjału Małopolski i wieloletnią pracę na rzecz promocji regionu. Medal odebrał z rąk marszałka województwa małopolskiego Jacka Krupy i przewodniczącej sejmiku woj. małopolskiego Urszuli Nowogórskiej podczas Gali Województwa Małopolskiego w dniu 11. 06. 2016. na Zamku w Nowym Wiśniczu;

– odznaczenia regionalne: Medal „Za Zasługi dla Miasta Limanowa” – Chór Chłopięcy Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej – z rąk burmistrza miasta Władysława Biedy i z-cy przewodniczącego Rady Miasta Leszka Woźniaka odebrali młodzi chórzyci, przedstawiciele chóru oraz dyrygent p. Halina Dyczek. Odznaki Przyjacieli Miasta Limanowa

– Edyta Lachor-Mitkowska, Barbara Janczyk, Joanna Jaworz-Dutka;

– listy gratulacyjne z rąk w/wymienionych otrzymali: Marta Wójtowicz, Dorota Miodońska, Elżbieta Zegarska, Ewa Czachurska, Agnieszka Kunicka-Mamak, Andrzej Jasica, Alicja Woźniak, Halina Król, Maria i Adam Czamarowie, Anna Rosiek, Kinga Ryś-Baca, Anna Kubica.

Spotkaniu towarzyszyły życzenia i gratulacje dla Jubilatów od obecnych posłów na Sejm RP: Wiesława Janczyka, Józefa Leśniaka i Anny Paluch, senatora RP Jana Hamerskiego, władz kościelnych, świeckich miasta i powiatu limanowskiego.

Pyszny jubileuszowy tort i poczęstunek dla wszystkich obecnych były dopełnieniem Jubileuszowych przeżyć.

Pragniemy podziękować wszystkim za wsparcie i pomoc przy organizacji obchodów. A to byli: Miasto Limanowa, Województwo Małopolskie, Starostwo Powiatowe, Bank Spółdzielczy, Zakłady Mięsne Szubryt, Firma Tik Tak, PKS Pasyk&Gawron, „Jackówka”, Apteka Higieja, Drukarnia MM, Zakład Fotograficzny Natanek, Przedsiębiorstwo Drogowo-Mostowe Limdróg, Z-d Remontowo-Budowlany Z. Tokarczyk, Projektowanie i Nadzór – Z. Czachurski, FUPH Trans-Bet St. Rapacz, Projektowanie – Ekspertyzy – Konstrukt – Andrzej Jasica, Instar – M. Czamara – J. Hajdyła-J.Pytel, PHU Kasztanek – AJGT Wygoda, Joanna i Grzegorz Prędcy, Usługi Transportowe – B. Franczak Słopnice, FHU Mek – Marzena Barnaś Kamienica.

Mistrzowie skrzypiec, fortepianu i innych instrumentów

Ilona Machowicz-Jurowicz

Państwowa Szkoła Muzyczna I Stopnia im. G. Bacewicz w Limanowej jest znana z sukcesów jej uczniów. Co roku tych osiągnięć przybywa, rośnie też liczba laureatów. Podczas koncertu w LDK, będącego podsumowaniem roku szkolnego 2015/16 w niedzielę 17 czerwca br. dyrektor Wincenty Curzydło nagrodził aż 31 zwycięzców tegorocznych konkursów.

„Limanowska PSM należy do wyróżniających się placówek w regionie. Jesteśmy szkołą I stopnia, której zadaniem jest rozbudzenie miłości do muzyki – mówi dyrektor PSM. Z ogromną radością obserwuję, jak nasi uczniowie czynią nieprawdopodobne postępy, a swoim poziomem nie ustępują kolegom z większych ośrodków. Wielokrotnie podkreślałem, że jest to zasługa nauczycieli, którzy poświęcają sporo dodatkowego czasu na pracę z wychowankami oraz na doskonalenie swoich umiejętności. Chętnie korzystają z pomocy nauczycieli akademickich, co roku zapraszanych do Limanowej na konsultacje i warsztaty metodyczne”.



Skrzypaczki (od lewej): Katarzyna Michalik, Wiktoria Cisak, opiekun Renata Biernat.

Szkolni mistrzowie

Spośród grona laureatów największe sukcesy odniosła **Dominika Sławek**: I miejsce w XV Ogólnopolskich Prezentacjach Miniatur Skrzypcowych – Sieradz i w Ogólnopolskim Konkursie „Mały czy duży wirtuoz” – Warszawa; II miejsce w XXIII Muzycznych Prezentacjach



Gitarzysta: Jakub Biernat, opiekun: Paweł Moszycki.

Młodych Skrzypków – Bystrzyca Kłodzka i w III Ogólnopolskim Konkursie Zespołów Kameralnych – Trzciana; III miejsce w XVI Edycji Międzynarodowego Konkursu „Moje inspiracje muzyczne” – Nałęczów i w II Ogólnopolskim Konkursie Miniatury Skrzypcowej – Warszawa oraz wyróżnienie w XVI Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym „Janko Muzykant” – Sochaczew.

Karolina Zelek i Michał Sukiennik zostali laureatami Przesłuchań Regionalnych Centrum Edukacji Artystycznej w kategorii duety fortepianowe oraz zdobyli III nagrodę w XVI Edycji Międzynarodowego Konkursu „Moje inspiracje muzyczne” – Nałęczów. W tym samym konkursie III nagrodę również uzyskali: **Paweł Michalik, Marta Majerska i Otylia Kwiatkowska**. **Anna Kądziołka i Zuzanna Kuziel** zajęły II miejsce w V Ogólnopolskim Konkursie Duetów Fortepianowych – „Grajmy razem” w Zamościu. Pierwsze miejsce oraz wyróżnienie specjalne uzyskał **Karol Pytel** w XIX Małopolskim Konkursie Pianistycznym w Tuchowie.

(ciąg dalszy na stronie 37)



Laureaci konkursów z dyrektorem Wincentym Curzydło.

Kuźnie w limanowskim pejzażu

Zofia Wiśniewska

Czas biegnie z szybkością rakiety, która ciągle przyspiesza, a wraz z nim znikają z powierzchni naszego kraju różne zakłady pracy, urządzenia i zawody, bez których kiedyś nie wyobrażano sobie życia. Obecnie nie są już potrzebne. Pozostają po nich i po ludziach, którzy je wykonywali wspomnienia, które z czasem bledną i nikną w niepamięci. Może warto przywołać je i utrwalić dla potomnych, aby był ślad ich istnienia, a jeśli pozostały budynki przenieść je do skansenu. Oglądane przez wycieczkowiczów będą reliktem minionej epoki. Jeżeli znajdą miejsce w skansenie, jest nadzieja, że ich żywot jeszcze się przedłuży, w przeciwnym razie nie pozostanie nic.



Kuźnia przy ulicy Granicznej u pp. Abramów.

Tak stało się z kuźniami, a przede wszystkim z kowalami, którzy od wielu wieków służyli mieszkańcom w ułatwianiu ich codziennego życia. Niektórzy z nich byli prawdziwymi mistrzami w swoim zawodzie.

Do takich należał na pewno Franciszek Król, mieszkaniec ul. Kościuszki (dawniej Sądeckiej) w Limanowej. Jego ojciec, także kowal, wybudował z potężnych kłóców modrzewiowych nową kuźnię i oddał ją starszemu synowi, który, według niego, zdobył należyte przygotowanie do zawodu i odznaczał się solidnością.

Przewidywania seniora w pełni się potwierdziły i Franciszek wnet zasłynął jako doskonały fachowiec. Zadbał przede wszystkim o potrzebne do pracy narzędzia, jak na owe czasy, nowoczesne.

Wszelkie przyjmowane zlecenia wykonywał rzetelnie, starannie i co ważne – terminowo. Należy podkreślić, że kowal wówczas musiał wiele czynności wykonać własnoręcznie, bo gotowych elementów nie było. Formował więc podkowy z metalowej „surówki”, by podkuć konie, zakładał grube obręcze na drewniane koła wozów, sporządzał łańcuchy dla bydła, formował „werbliki”, które je spinały, zasuwki do drzwi i okien, rygle i wiele innych detali niezbędnych w każdym domu.

Spiętrzenie zajęć występowało na wiosnę i jesienią, gdy ruszały prace polowe.

Kiedy zainteresowani, zwłaszcza rolnicy dowiedzieli się o solidności młodego kowala, zasypali go takim ogromem zamówień, że nie mógł wszystkich



Nieistniejąca kuźnia rodziny Królów przy ulicy Kościuszki.

przyjąć. Na szczęście otrzymał zezwolenie na przyjmowanie uczniów na naukę zawodu. Każdego zgłaszającego się kandydata poddawał miesięcznej obserwacji, a dopiero potem decydował o jego przyjęciu „do terminu”.

Szczęśliwców było niewielu, ale ci, którym się udało podjąć naukę w „Królowej kuźni” doskonale opanowali potrzebne umiejętności i po „wyzwolinach” szybko znajdowali pracę lub otwierali własne kuźnie. Niektórzy wyjeżdżali nawet do pracy za granicę zwłaszcza do Francji i tam zdobywali uznanie i pieniądze.

Franciszek Król słynął nie tylko z solidności, ale również z tego, że był abstynentem, co w tej branży było dosyć rzadkie. Nie tylko, że sam nie pił, ale nie pozwolił tego czynić gospodarzom wracającym z jarmarku, którzy zatrzymywali się przy kuźni, prosili o wykonanie usługi, poili konie, czerpiąc wodę ze studni, a przy okazji wyciągali butelkę.

Widząc to, właściciel kuźni nie podejmował pracy, a trunkowych delikwentów przepędzał. Natomiast chętnie rozmawiał z trzeźwymi interesantami, nie przerywając przy tym swojej pracy.

Z biegiem czasu Franciszek Król zaczął wykonywać prace artystyczne – kute, ozdobne bramy, antaby ozdobione głowami zwierząt, wymyślne klamki i wiele drobnych przedmiotów upiększających

wnętrza domów. Najbardziej zdolnych czeladników zatrudniał w swojej kuźni. Coraz rzadziej przyjmował nowych uczniów, bo zdrowie przestawało służyć. Tym, których przyjął, zapewnił dobre przygotowanie do przyszłej pracy. Pragnął, by jego czeladnicy wykonywali tak przyszłą pracę, jakby to czynił on sam, ich mistrz.

Franciszek Król był człowiekiem bardzo wierzącym., przeświadczonym, że wszystko co osiągnął, zawdzięcza Niebiosom. Dlatego specjalną pieczę otaczał kapliczkę przy „swojej” ulicy, którą długo jeszcze po jego odejściu do innego wymiaru nazywano „Królową kapliczką”.

Pracował jeszcze w swojej kuźni kilkanaście lat po II wojnie światowej. Władze zaczęły mu jednak stwarzać trudności, bo prywatny warsztat był wówczas źle widziany. Po jego odejściu na emeryturę kuźnię przejęła spółdzielnia, która zatrudniła kowala. Nie był to jednak dobry wybór. Nie pomogło bardzo dobre położenie, właściwie centrum miasta. Warsztat przynosił straty, często był zamknięty.

Dawnemu właścicielowi żal było tego, co stworzył, ale nie miał nawet odwagi, by odwiedzać swoją własność.

Odszedł na zawsze po bardzo pracowitym życiu i „na szczęście” nie dożył momentu, gdy warsztat jego pracy zniszczono, rozebrano, chociaż był w strefie zainteresowania konserwatora, który zabiegał o wpisanie go na listę zabytków. Budynek był dobrze utrzymany i wraz z wyposażeniem mógł trafić do skansenu lub pozostać w tym miejscu, w którym stał. Mogłyby go zwiedzać przyjeżdżające wycieczki lub uczniowie miejscowych szkół. Limanowa nie może się poszczycić wielką liczbą zabytków. O „Królowej kuźni” pamięta dzisiaj tylko garstka mieszkańców Limanowej.

Do historii przeszła też kuźnia „U Malowanego Wicusia”, czyli Wincentego Odziomka. Znajdowała się blisko karczmy „Na Gwizdówce”. Warto zaznaczyć, że karczma ta w historii Limanowej odegrała pozytywną rolę. W niej to w okresie międzywojennym w zimowej porze odbywały się kursy tańca towarzyskiego dla młodzieży wiejskiej, próby chóru włościańskiego, a także spotkania ludowców rozprawiających na temat poprawy bytu chłopów, rozwoju czytelnictwa czy zakładania Kas Stefczyka przeciwdziałających lichwiarom. Malowany Wicus nie był tak zręcznym i utalentowanym



Rekonstrukcja galicyjskiej kuźni na limanowskim rynku.

kowalem jak Franciszek Król, ale powierzone prace wykonywał terminowo i często godził się czekać na zapłatę, gdy gospodarz nie miał gotówki. Sam będąc także gospodarzem, rozumiał dole i niedole chłopów oraz trudności w pracach polowych, gdy zabraknie potrzebnego sprzętu.

Przydomek zawdzięczał zaróżowionej cerze, wesołemu spojrzeniu, frywolnemu kapeluszu i garniturowi w zielonym kolorze. Malowany Wicus był człowiekiem towarzyskim, chętnie wdawał się w dyskusje, toteż bliżsi i dalsi sąsiedzi, gdy uporali się z najważniejszymi pracami gospodarskimi, a wieczory stawały się dłuższe, pod błahym pretekstem lubili „wyskoczyć” do kuźni. Tam już czekał na nich kowal udający, że przygotowuje pracę na następny dzień lub kończy rozpoczętą. Gospodarze siadali na grubej ławie podpartej klockami i rozpoczynali rozmowy, które przybierały na sile, gdy zdarzyło się, że wrócił ktoś „z dalekiego świata” i przynosił świeże nowiny. Wtedy „obowiązkowo” składano się na beczkowe piwo, które ktoś z młodszych przynosił w bańce na mleko. Pito je kolejno z przykrywką od bańki i rozmowa jeszcze bardziej się ożywiła. Spotkanie kończyło się, gdy grzejącego płynu zaczęło brakować, żar w palenisku dogasał, a zimno zaczęło doskwierać.

Malowany Wicus przyuczał do kowalki kilku chłopców, także swojego syna, ale on po okupacji wybrał pracę w państwowej firmie. W tej sytuacji, gdy właścicielowi zabrakło sił, zapotrzebowanie na usługi zmalało, zlikwidował

kuźnię. Mała grupka pozostałych przy życiu uczestników wspólnych badań żałowała utraconej kuźni, bo choć nie było już karczmy „Na Gwizdówce” miło było spotkać się, porozmawiać i wspominać minione czasy.

Należy także przypomnieć o innych kuźniach i ich właścicielach, bo za kilka lat nikt już nie będzie o nich wiedział. Odejdą z pamięci tak, jak odeszli z rodzimego, limanowskiego krajobrazu. Kilku z nich to uczniowie Franciszka Króla. Poczet otwiera m.in. Zygmunt Sowa (1905 – 1998). Zasłynął jako najlepszy specjalista od podkuwania koni. Miał takie wyczucie, że nigdy żadnego konia nie zranił. Rozmawiał z koniem jak z człowiekiem, a jego spokojny, opamiętany głos sprawiał, że najbardziej znarowione zwierzę łagodniało. Na tego kowala mówiono „Zygmunt spod Górki”. Pod ową górką wybudował sobie kuźnię. Odpowiedzialny tak, jak jego mistrz, szybko dorobił się sporych oszczędności. Założył też dużą pasiekę, która przynosiła mu dodatkowy dochód. Mówiono, że ma „rękę” do pszczół. Od dawna istnieje przekonanie, że pszczoły „lgną” do dobrych, prawych ludzi. Nigdy ich nie żądła, a praca „z pszczołami” powoduje, że właściciele pasiek zwykle długo żyją i nie zapadają na sercowe dolegliwości.

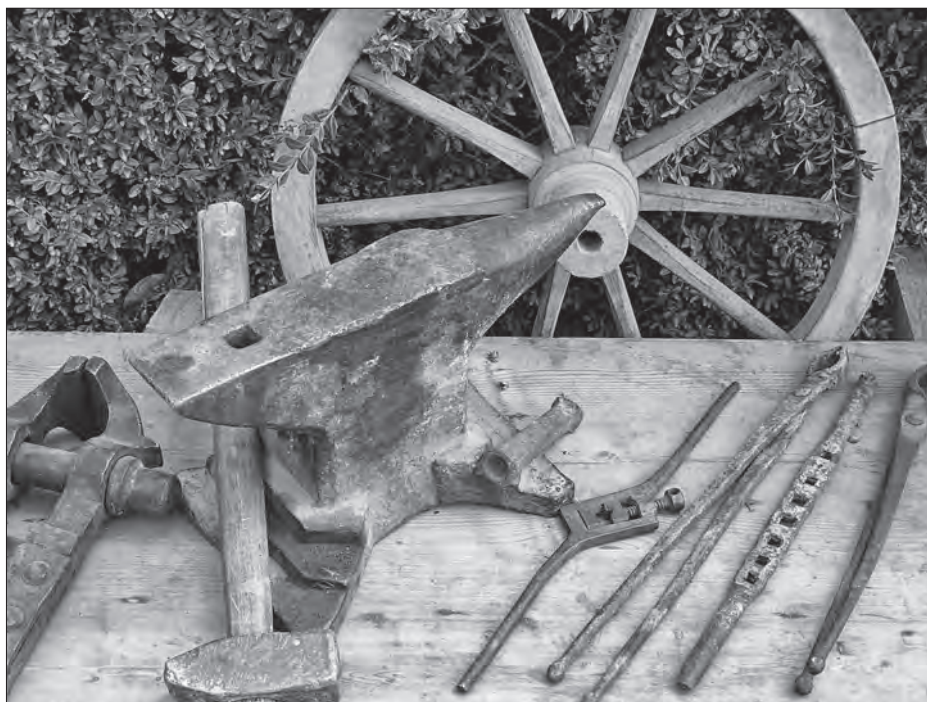
Zygmunt Sowa około 1970 roku postanowił odпочać od wykonywanego rzemiosła. Dobrze prosperujące gospodarstwo sprzedał Józefowi Liskowi ze Słopnic, a sam kupił od pasierba p. Bocheńskiej willę w Limanowej przy ul. Kościuszki.



Kuć żelazo póki gorące! Kowalski Festyn u Władysława Raczka w Pisarzowej w 2013 roku. [Fot. Z. Sułkowski]

Uczniem Franciszka Króla był też Mikołaj Pławecki. Jego rodzice mieszkali w Młynnem, ale chcieli być „bliżej miasta” i dlatego sprzedali swoje domostwo i kupili dawną leśniczówkę u podnóża Chłopskiej Góry przy drodze wiodącej z Bzdyczki do Sarczyna. Najstarszego syna oddali do znanego mistrza kowalskiego, by nauczył się tego zawodu. Po „wyzwolinach” Mikołaj przy pomocy rodziców wybudował sobie kuźnię i świadczył w niej usługi okolicznym gospodarzom, zyskując ich uznanie. Przyuczał też do zawodu młodszego brata Walentego (1909 – 1986), który jako samouk poczynił znaczne postępy w tym ciężkim dziele. Mikołaj widząc, że młodszy brat ma „serce” do kowalki, oddał mu kuźnię, a sam z rodziną wyjechał około 1930 r. do Francji, z której już nie wrócił do Polski.

Walenty – bardzo pracowity, zdobył opinię dobrego fachowca i rzetelnego człowieka. Nauczył się ponadto grać na akordeonie i z tego względu był często zapraszany na wesela i uroczystości wiejskie. Dodatkowo zajmował się kamieniarstwem. Wykonywał nagrobki o konstrukcji lekkiej i wymownej. Wiele ich można znaleźć na limanowskim cmentarzu parafialnym. Między innymi nagrobek jego dłuta znajduje się w miejscu wiecznego spoczynku Anny i Walentego Gawronów.



Narzędzia kowalskie z kuźni Jana Śmierciaka z Przyszowej, który wykonał wszystkie krzyże kościoła limanowskiego.

Siostra Mikołaja i Walentego Pławeckich – Julia zawarła związek małżeński z Janem Czają (1906 – 1980) również kowalem, który wyuczył się tego zawodu u Janczego w Porąbce (dawniej należącej do Mordarki obecnie Limanowa).

Jan Czaja nie mając własnej kuźni, wdzierzał potrzebny obiekt w przysiółku „Wesoła” (Łososina Górna) od

Waligóry, mieszkańca Młynnego. Gdy zgromadził potrzebne fundusze (jeszcze w okresie międzywojennym), kupił gospodarstwo rolne w Sowlinach i wybudował kuźnię. Zasłynął jako dobry fachowiec i zaczął uczyć zawodu chętnych chłopców. Wykonywał również usługi ślusarskie. Kuźnię zapisał w spadku synowi Adamowi, który kontynuował zawód ojca.

Szkoda, że tak ważne obiekty jak kuźnie nie zostały utrwalone „w kadrze”. Umknęli też pamięci znani kowale.

Przedstawiłam tylko niektórych z nich. Szkoda, że tak mało, bo kowale to ludzie ciężkiej, fizycznej pracy. Ludzie epoki, która bezpowrotnie przeminęła. Dobrze, że przyszedł postęp, usprawnił i polepszył życie człowieka, ale o podwalinach tego postępu także trzeba pamiętać.

Na zakończenie warto wspomnieć o tym, że w Limanowej przy ulicy Granicznej u pp. Abramów zachowała się jeszcze jako relikw minionych lat stara kuźnia.

Fotografował ją w ubiegłym roku entuzjasta ludowej tradycji p. Jan Dutka z Moczarek.

Za pomoc w zebraniu wiadomości serdecznie dziękuję Zaczemu Kuzynowi Wincentemu Gawronowi.

Fotografie: arch. „EL”

Jerzy Wawrzyniec Żuławski

W ostatnim wydaniu „Echa Limanowskiego” został przedstawiony portret biograficzny Leona Hermenegildusa Żuławskiego. W rynku, w pobliżu domu, w którym 25 lat mieszkał, odsłonięto tablicę pamiątkową, w dwusetną rocznicę Jego urodzin. W salach Regionalnego Muzeum Ziemi Limanowskiej na wystawie zatytułowanej: „Muzy i Medycyna – artyści i lekarze z rodziny Żuławskich” zaprezentowano dzieje rodu Żuławskich.

Tym razem w cyklu artykułów napisanych przez Stanisława Marię Jankowskiego, znanego krakowskiego publicystę i pisarza, skoligaconego z rodziną Żuławskich, przedstawimy wybrane wydarzenia z bogatego życia Jerzego Wawrzyńca Żuławskiego.

Jakie związki rodzinne łączą Jerzego Wawrzyńca Żuławskiego z Leonem Hermenegildusem Żuławskim – lekarzem limanowskim?

Brat Hermenegildusa, Juliusz Ludwik (pradziadek Wawrzyńca) rozpoczyna tzw. linię Żuławskich – artystów, literatów. Ożenił się z Marianną Laskiewicz z Młynnego. Małżeństwo to miało ośmioro dzieci, najstarszy syn Kazimierz – właściciel dworku „Słomiana” w Młynnem jest dziadkiem Jerzego Wawrzyńca Żuławskiego.



Rodzina Żuławskich - Młynne 1897 r. Stoją od lewej: Jadwiga, Bogdan, Sławomir, Janusz, Zygmunt, Jerzy (ojciec Wawrzyńca), brak Witolda. Siedzą: Kazimierz i Józefa z Gosławskich (dziadkowie Wawrzyńca).

Kompozytor, muzykolog, krytyk muzyczny, pisarz, taternik i alpinista.

Urodził się 14 lutego 1916 r. w Zakopanem. Jest synem znanego pisarza Jerzego Żuławskiego i Kazimiery z domu Hanickiej.

W latach 1934-39 odbył studia w zakresie filozofii i muzykologii na Uniwersytecie Warszawskim. W 1947 r. uzupełniał studia kompozytorskie w Paryżu.

Jako żołnierz Armii Krajowej uczestniczył w powstaniu warszawskim.

Był profesorem w Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie i w Łodzi.

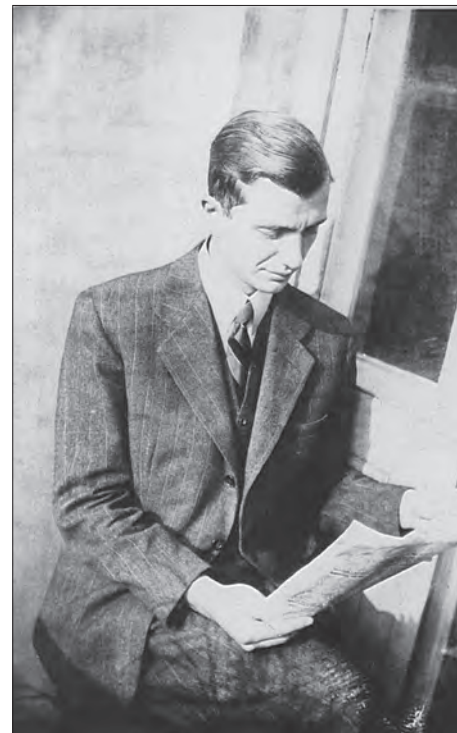
Taternictwo uprawiał od 1932 roku, a już od 1935 zaliczał się do czołowych



Kazimierza z Hanickich Żuławska z synami Juliuszem i Wawrzyńcem - 1916 rok.

taterników i dokonał wielu pierwszych przejść. Swoje wyprawy opisywał w różnych czasopismach.

Wiele jego dzieł po jego śmierci połączono i opublikowano jako większe



Jerzy Wawrzyniec Żuławski - lata czterdzieste XX w.

zbiory. Wydał również kilka książek, związanych z ratownictwem, zaliczanych do klasyki literatury górskiej. Są to: „Niebieski krzyż”, „Sygnały ze skalnych ścian”, „Tragedie tatrzańskie”. Tematyka tatrzańska przewija się także w kompozycjach muzycznych Żuławskiego. Są to między innymi: *Kwintet fortepianowy*, *Wierchowemu nuty* i inne.

Pełnił wiele funkcji społecznych. Już od roku 1935 zasiadał we władzach Koła Wysokogórskiego przy Oddziale Warszawskim Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

W latach 1939-45 i 1949-51 był członkiem Zarządu, a od 1956 prezesem Klubu Wysokogórskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, w latach 1954-56 przewodniczącym Sekcji Alpinizmu Zarządu Głównego PTTK.

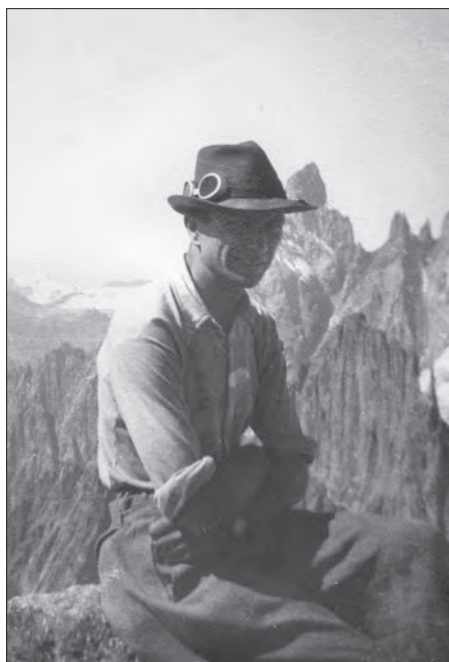
W latach 1951-53 pełnił funkcję sekretarza Związku Kompozytorów Polskich oraz był członkiem Rady Kultury, od maja 1956 prezesem Stowarzyszenia ZAiKS.

Zginął w roku 1957 podczas wyprawy w Alpy, biorąc udział w poszukiwaniach zaginionych dwóch alpinistów jugosłowiańskich i towarzyszącego im Stanisława Grońskiego.

Stanisław Ociepka

Nie zostawia się przyjaciół...

O Wawrzyńcu Żuławskim i pięknej śmierci z alpinistą i muzykologiem
– profesorem Władysławem Malinowskim – rozmawia Stanisław M. Jankowski



Jerzy Wawrzyniec Żuławski (1916-1957).



Tablica pamiątkowa śp. Wawrzyńca Żuławskiego na Symbolicznym Cmentarzu Ofiar Tatr na stokach Osterwy w Tatrach Wysokich.

– Czy to prawda, że wspinaczką zaraził Pana Wawrzyniec Żuławski i z jego książek dowiadywał się Pan o niebezpieczeństwie czekającym w górach?

– Nie zaraziłem się od Żuławskiego, bo zostając jego studentem byłem już początkującym taternikiem. Pewien wpływ na moje zainteresowanie górami wywarły jednak jego książki „Sygnały ze skalnych ścian”, „Tragedie tatrzańskie” czy „Wędrowki alpejskie”. Zaglądam do nich i dzisiaj.

– Nie z literaturą łączy się jednak nazwisko Wawrzyńca Żuławskiego...

– „Wawa”, bo tak go nazywaliśmy, był kompozytorem, pedagogiem i krytykiem muzycznym. Nauczał instrumentacji symfonicznej, a ja również uczyłem na prowadzone przez niego seminarium z krytyki muzycznej. Wszystko w ramach moich studiów w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, odpowiednik dzisiejszej Akademii Muzycznej. Studia u Żuławskiego były tylko ogniwem, raczej drobnym, moich studiów muzycznych i muzykologicznych w PWSM i na Uniwersytecie Warszawskim.

– Poświęcił się Pan górom obok muzyki?

– Poświęciłem się górom „obok” – jak Pan mówi – muzyki, a inni „poświęcają się obok” wszelkich innych zawodów i powołań. Dlaczego to robimy? Oto jest pytanie.

– „Dlaczego chodzisz po górach” – zapytano jednego z naszych taterników. – „Bo są” – odpowiedział. Jaki będzie Pana komentarz do tego pytania i odpowiedzi?

– Właściwe pytanie brzmi: Dlaczego nie przechodzimy wobec nich obojętnie, jak wobec tylu innych rzeczy, które też „są”? Zatem, czym są dla nas, alpinistów góry? Co nam dają? Sprawa przedziwnie niejasna, można by z udzielanych odpowiedzi ułożyć cały tom. Myślę, że alpinista poprzez ostateczne zagrożenie, o jakie się z własnej woli ociera, (właśnie ono jest niezbędne) unieważnia prawa codzienności, buduje alternatywną rzeczywistość, opuszcza świat. Trochę jak w kontakcie ze sztuką, muzyką, przede wszystkim także z religią. Dlaczego ludzie mają takie potrzeby? To już dyskusja o człowieku w ogóle, o ludzkiej kondycji.

– O ostateczne zagrożenie otarł się alpinista

Żuławski, gdy trzeba było iść na ratunek kolegom. Zna Pan relację z wyprawy na Mont Blanc du Tabul, w której Wawa brał udział i zginął?

– Znam z pierwszej ręki, od Stanisława Biela. Żuławski szedł z nim związany jedną liną. Staszek ciężko uszkodzony cudem przeżył ten wypadek.

– Wyruszenie na ratunek kolegom to przykład bohaterstwa czy po prostu obowiązek?

– Ani jedno, ani drugie. Moim zdaniem Wawrzyniec Żuławski budował własną legendę, legendę człowieka i alpinisty, zdążającego zawsze na pomoc ludziom, którzy w górach potrzebują pomocy. Wielokrotnie tak postępował w Tatrach. Tę legendę pragnął przypieczętować. I uczynił to – śmiercią.

– Można inaczej budować legendę?

– Gdy wychodzili (z młodym wówczas Bielem) warunki w górach – po wielkim, świeżym opadzie śniegu – wszyscy kompetentni ludzie obecni wówczas w Chamonix uznali za skrajnie niebezpieczne i gorąco odradzali wyprawę.

– Wawa nie chciał słuchać słów „skrajnie niebezpieczne”, a po tylu latach wspinania

► się nie ryzykowałbym nazwania go „niekompetentnym”.

– Równa zeru była szansa, że jeszcze żyje Staszek Groński, znany jako „Mojżesz” i obaj towarzyszący mu jugosłowiańscy alpinisci.

– A może Wa-wa Żuławski uznał za konieczne wprowadzenie w życie swojego słynnego powiedzenia, że „nie zostawia się przyjaciela, nawet jeśli jest on bryłą lodu”?

– Ta wypowiedź, cytowana przez prasę, może budzić wątpliwości w odniesieniu do tamtej, realnej sytuacji. Czy możemy akceptować coś, co było właściwie samobójstwem i narażeniem życia drugiego człowieka?

– Zna Pan tereny, w których doszło do tragedii?

– Rok czy dwa po wypadku znalazłem się – jako alpinista – w miejscu śmierci Wawy. Było to na samym początku ich poszukiwań, w terenie zupełnie łatwym. Co byłoby dalej, gdzie teren (znam go dobrze) staje się trudniejszy?

– Pana słów o „budowaniu własnej legendy” przez Wawrzyńca Żuławskiego nie odbieram jako komplementu pod Jego adresem.. A może się mylę?

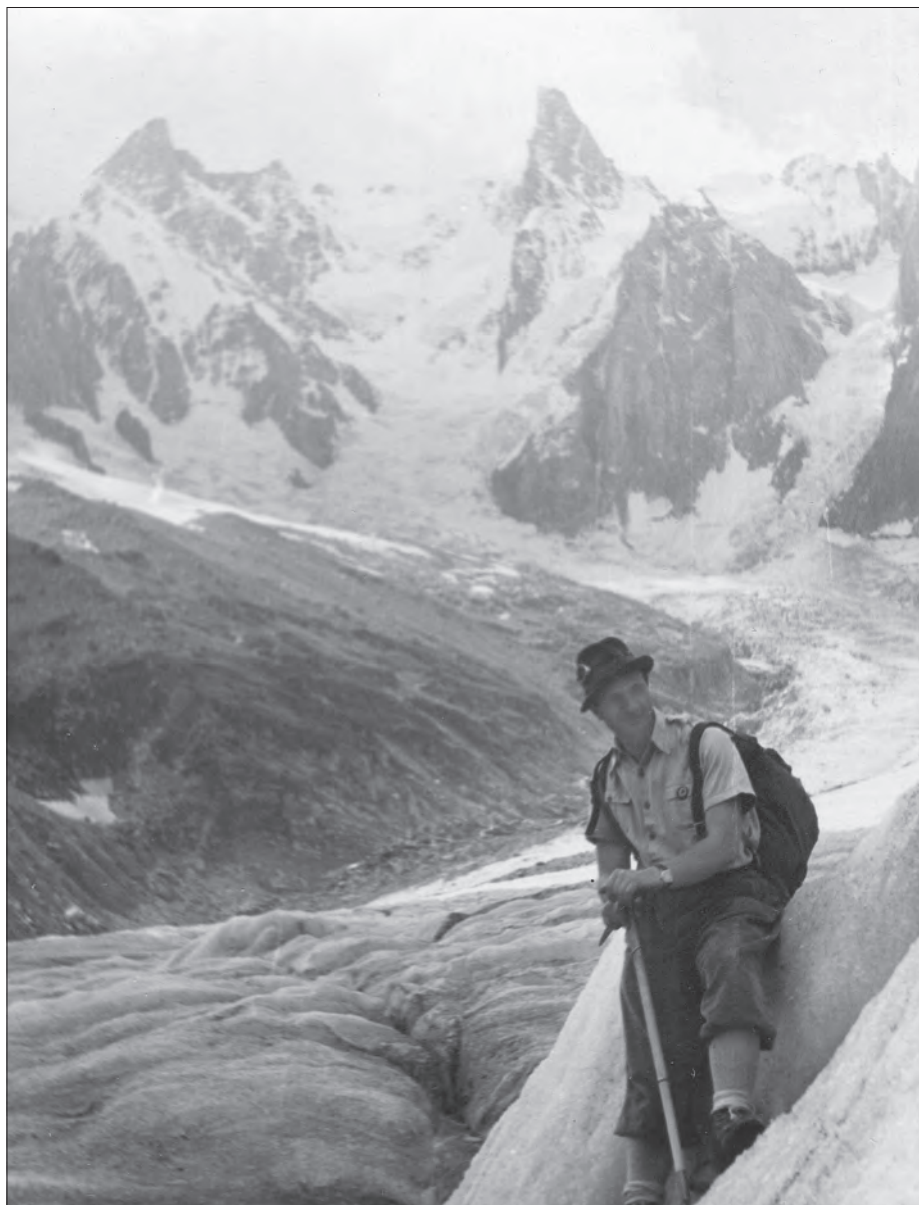
– I nie mają być komplementem. Mój sentyment do postaci i szacunek dla niej nie mogą jednak wykluczać krytycznej refleksji. A dotyczy ona sprawy niezwykle wagi, zawsze aktualnej: etycznego aspektu stosunków między ludźmi działającymi w górach.

– Wracam do „nie zostawiania przyjaciela w górach”.

– Ta fraza znana jest w polskim świecie alpinistycznym. Przyjmowana bezrefleksyjnie, a brana dosłownie, nie wiadomo co miałyby oznaczać. Ale może ona miałaby rolę ważnego moralnego przesłania, pozostawionego przez Wawrzyńca Żuławskiego? I w swej metaforycznej intencji rozumianego jako nakaz dla ludzi gór zachowania bezwzględnej solidarności i lojalności wobec towarzyszy wyprawy?

– Brał Pan udział w jakiejś wyprawie ratowniczej?

– Oczywiście. Pamiętam jedną z nich, w nocy, zimą 1968 roku, w Dolinie Wielickiej w Tatrach Słowackich. Realizowaliśmy ją z himalaistą – Andrzejem Zawadą, moim partnerem wspinaczek tatrzańskich



Wawrzyniec Żuławski w Alpach.



i jeszcze jednym himalaistą Cieleckim (Adamem Bieleckim? – dop. SMJ). Miała niezwykle dramatyczny przebieg, a zakończyła się uratowaniem życia przyjaciela, Krzysztofa Tomaszewskiego, uwięzionego w trudno dostępnej ścianie.

– Podczas rozmowy o nieudanej wyprawie ratunkowej Wawrzyńca jeden z obecnych w pokoju GOPRowców zaszokował mnie komentarzem, że chciałby mieć tak piękną śmierć jak Wawa Żuławski w Mont Blanc du Tabul, a nie z ciężką chorobą, pieluchą pod tyłkiem, w szpitalu lub hospicjum. Czy można mieć piękną śmierć?

– Oczywiście, że można. Ja już niestety nie mam na to szansy. Inna rzecz, co na to bliscy?

Rozmawiał:
Stanisław M. Jankowski
Fot.: arch. Ewy Żuławskiej-Bogackiej,
arch. „EL”

Cichociemni na Ziemi Limanowskiej

W dniu 22 grudnia 2015 r. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej jednogłośnie ustanowił rok 2016 – Rokiem Cichociemnych, aby oddać hołd wszystkim żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, spośród których wykształciła się elita skoczków cichociemnych. Celem uchwały było utrwalenie pamięci oraz przekazanie historii młodszemu pokoleniu. W 1944 r. na pograniczu Beskidu Wyspowego i Gorców zjawili się pierwsi żołnierze cichociemni – którzy zapisali swoją kartę w dziejach regionu.

Od Brygady Spadochronowej do cichociemnych

Po klęsce Francji w wojnie z III Rzeszą pod koniec czerwca 1940 r., jedynym państwem zdolnym przeciwstawić się Niemcom była Wielka Brytania. Ówczesny premier Winston Churchill zdawał sobie sprawę, że nową wojnę należy prowadzić innymi metodami niż dotychczas. W tym celu w lipcu 1940 r. w Wielkiej Brytanii powołano Kierownictwo Operacji Specjalnych (Special Operations Executive), tajną organizację rządową, której celem było prowadzenie dywersji, wspieranie działań powstańczych i politycznych na obszarze całej Europy. Jesienią 1940 r. w Londynie, przedstawiciele Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie na czele z premierem gen. Władysławem Sikorskim podjęli decyzję o formowaniu polskiej jednostki spadochronowej oraz o nawiązaniu stałej łączności z okupowanym krajem poprzez organizację lotów do Polski. Idea organizacji formacji spadochronowych na ziemiach polskich miała swoje początki w ostatnich latach przed wybuchem II wojny światowej. Od końca 1939 r. planami nawiązania lotniczej łączności z krajem zajmowali się kapitanowie: Maciej Kalenkiewicz oraz Jan Górski. Pomimo ograniczonych możliwości finansowych ze strony aliantów z końcem 1941 r. udało się utworzyć 1. Samodzielną Brygadę Spadochronową, której dowodzenie powierzono płk. Stanisławowi Sosabowskiemu. W celu nawiązania łączności



Przed leśniczówką u Andrzeja Florka. Jesień 1944r. Od lewej: cc ppor. Feliks Perekladowski „Przyjaciół 2”, cc ppor. Przemysław Bystrzycki „Grzbiet 2”, kpt. Mieczysław Przybylski „Michał”, cc por. Marian Skowron „Olcha 2”, por. Jerzy Wiśniewski „Sochacki”, por. Bernard Bzdawka „Siekieta 2”.

z krajem rozpoczęto rekrutację spośród żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie do tzw. „pracy w kraju”. Żołnierze ochotnicy przechodzili szkolenie sprawnościowe oraz spadochronowe na wschodnim wybrzeżu Szkocji w ośrodku szkoleniowym w Largo Hause – nazywanym potocznie „Małpim Gajem”. Ochotnicy byli przygotowywani do służby w kraju w szeregach Armii Krajowej na wszystkich odcinkach walki, od dywersji i zadań specjalnych po wywiad i szkolenie kadr w okupowanej Polsce. W latach 1941-1944 na teren okupowanego kraju zostało zrzuconych 316 cichociemnych (w tym kobieta – Elżbieta Zawadzka „Zo”). 112 poniosło śmierć w walce z niemieckim i sowieckim okupantem oraz w wyniku wyroków śmierci komunistycznych władz Polski w okresie stalinizmu.

Pierwszy „skoczek” na Ziemi Limanowskiej

Pomimo, że spośród 313 cichociemnych żaden ze skoczków nie pochodził z terenu Beskidu Wyspowego i Gorców, to w 1944 r. na ziemi Orkana pojawiło się trzynastu „zrzutków”. Pierwszym z nich był cc ppor. Feliks Perekladowski „Przyjaciół 2”, zrzucony w nocy z 30 na 31 maja w ramach operacji „Weller 30” na placówkę odbiorczą „Paszkot 1” ok. 7 km na północ od Łańcuta. Po aklimatyzacji na początku lipca por. „Przyjaciół” otrzymał przydział do Kedywu Inspektoratu Nowy Sącz Okręgu Kraków AK. Po przybyciu w rejon Gorców został zastępcą dowódcy Oddziału Partyzanckiego „Wilk” – por. Krystyna Więckowskiego „Zawiszy”. Zajmował się szkoleniem żołnierzy OP „Wilk” oraz Obwodu AK Limanowa z obsługi broni ze zrzutów na Dzielcu w Słopicach, który miał miejsce na początku lipca 1944 r. Od 16 sierpnia 1944 r. ppor. „Przyjaciół” zastąpił rannego por. „Zawiszę” na stanowisku OP „Wilk”. Brał udział w wielu akcjach, szczególnie w czasie akcji „Burza” na terenie Podhala, Gorców i Beskidu Wyspowego. Były to m.in.: rozbrojenie załogi Wehrmachtu w szkole w Kamienicy, zdobycie budynku stacji kolejowej w Kasinie Wielkiej, liczna działalność dywersyjna na niemieckie patrole w dolinach ▶



Wrębisza Zalesiańskie, zima 1944r. Cc por. Marian Skowron „Olcha 2” prowadzi szkolenie z obsługi zrzutowego brytyjskiego granatnika przeciwpancernego PIAT.



Cichociemni z mieszkańcami Polanek Szczawskich. Zima 1944r.

► Dunajca i Kamienicy. Pod koniec września po utworzeniu 1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK, ppor. „Przyjaciół” został dowódcą 1 kompani w 1 batalionie. Jesienią brał udział w akcjach przeciwko posterunkom granicznym w Leśnicy, Czarnej Wodzie i Szczawnicy. Na początku grudnia 1944r. stanął na czele wydzielonego z 1. psp AK Oddziału Partyzanckiego „Szerszeń”, walcząc w rejonie Zakopanego z pospolitym bandytyzmem, niemieckim okupantem oraz na pograniczu polsko-słowackim. Pod koniec stycznia 1945 r., po rozwiązaniu Armii Krajowej oraz po „urlopowaniu” żołnierzy 1. psp AK przez mjr. Adama Stabrawę „Borowego”, brał udział w demobilizacji struktur AK, prowadzeniu walki propagandowej oraz likwidacji konfidentów UB. W połowie 1945 r. pracował w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, zajmując się przetrzucaniem spalonych żołnierzy AK do Wrocławia i dalej na zachód. Sam ostatecznie 15 października wyjechał z kraju do Włoch. Służył w II Korpusie Polskim do demobilizacji. Na krótko osiadł w Anglii, następnie wyjechał do Argentyny, gdzie zmarł w 1973 r.

Lądowanie w Gorcach

Jesienią 1944 r. w rejonie Szczawy zostały zlokalizowane przez Okręg AK Kraków, zrzutowiska o kryptonimach: „Wilga 1” oraz „Wilga 2”, znajdujące się w na osiedlu Polanki u podnóża Kiczory oraz na przeciwległym wzniesieniu nad Szczawą. Pełniły funkcję zrzutowisk zapasowych, na wypadek gdyby alianckie samoloty nie mogły zrzucić ładunków

i skoczków na obszarze Generalnego Gubernatorstwa. W nocy z 22 na 23 listopada 1944 r. nad Szczawą została zrzucona załoga w ramach operacji „Kazik 1” w składzie: cc ppor. Przemysław Bystrzycki „Grzbiet”, cc ppor. Bernard Bzdawka „Siekiera”, cc mjr Adam Mackus „Prosty”, cc ppor. Stanisław Mazur „Limba”, cc mjr Kazimierz Raszpewicz „Tatar 2”, cc por. Marian Skowron „Olcha 2”. Mjr Mackus otrzymał zadanie stworzenia sieci łączności kraju z Londynem na wypadek antysowieckiej konspiracji (późniejsza org. „NIE” – Niepodległość) oraz nawiązaniu kontaktu z Komendantem Głównym AK gen. Leopoldem Okulickim „Niedźwiadkiem”. Miesiąc później, w nocy z 26 na 27 grudnia na „Wilgę” zostali zrzuconeni w ramach operacji „Staszek 2”: cc ppor. Bronisław Czepczak „Zwijak 2”, cc kpt. dypl. Stanisław Dmowski „Podlasiak”, cc ppor. Jan Matysko „Oskard”, cc kpt. Jan Parczewski „Kraska”, cc mjr Zdzisław Sroczyński „Kompresor”, cc mjr Witold Ukłański „Herold”. Część ze zrzuconych „skoczków” została przydzielona do 1 baonu 1. psp AK w celu prowadzenia szkoleń dla leśnego wojska lub pełnienia funkcji dowódczych jak np. por. Marian Skowron „Olcha” w 1 kompani 1 baonu 1. psp AK.

Ostatnia misja

13 stycznia 1945 r. Niemcy przeprowadzili akcję mającą na celu likwidację kwater partyzanckich 1. psp AK w rejonie Szczawy i Mogielicy. Rozegrała się kilkunastogodzinna potyczka określana mianem tzw. „bitwy szczawskiej”, w czasie której żołnierze 1 baonu 1. psp AK

odparli atak Niemców w rejonie osiedla Bukówka, gdzie w budynkach tartaku był przechowywany sprzęt ze zrzutów. W czasie bitwy została ewakuowana specjalna grupa nazywana „Pelikanami”, która wraz z kilkoma cichociemnymi zajmowała się nawiązywaniem łączności z Okręgiem AK Kraków, Londynem oraz z aliancką bazą lotniczą we włoskim Brindisi. Załadowane na kilka furmanek radiostacje oraz spora część pieniędzy ze zrzutów, dolarów w złocie i walucie (dla Okręgu AK Kraków) zostały wysłane ze Szczawy przez Wyrębiska Zalesiańskie, Słopnice, Podłopień, Wilkowisko do Góry Św. Jana. Po rozwiązaniu Armii Krajowej, na wiosnę 1945 r. kilku cichociemnych nadal prowadziło pracę w konspiracji w celu utrzymania łączności kraju z Londynem. Np. w rejonie Jodłownika i Szczyrzyca pracował cc ppor. Przemysław Bystrzycki, przekazując o ustalonych porach meldunki na temat wydarzeń w kraju. W sierpniu 1945r. radiostacja ostatecznie została zdekonspirowana, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie aresztowali cichociemnych: mjr. Adama Mackusa oraz ppor. Przemysława Bystrzyckiego wraz z łączniczkami oraz Kazimierzem Drożdżem, mieszkańcem Jodłownika, który działając w strukturach AK, angażował się w pomoc organizacji kwater dla cichociemnych. Ostatecznie w wyniku amnestii oraz uiszczenia okupu przez kurierów z Londynu wyżej wymienionym cichociemnym udało się odzyskać wolność.

Ostatecznie bilans cichociemnych, którzy znaleźli się w 1944 r. na Ziemi Limanowskiej wyglądał następująco: spośród trzynastu skoczków, czterem udało się uniknąć aresztowania przez UB oraz wyjechać z kraju, spędzając resztę życia na emigracji. Pozostałych dziewięciu było w 1945 r. aresztowanych przez UB, z czego czterem udało się opuścić więzienie w wyniku amnestii lub uiszczenia okupu i wyjechać na zachód. Trzech po opuszczeniu więzienia pozostało na terenie kraju. Mjr Witold Ukłański „Herold” został zamordowany 3 maja 1954 r. w więzieniu we Wronkach. Kpt. Jan Parczewski „Kraska” popełnił samobójstwo w 1967 r. Swoje wspomnienia ze skoku oraz pobytu na Ziemi Limanowskiej opisał cc ppor. Przemysław Bystrzycki w książkach: „Znak cichociemnych” oraz „Oddanie broni”.

Fotografie: ze zbiorów Muzeum Armii Krajowej w Krakowie

Z historii kościoła limanowskiego



Sto lat temu (1913-1916); ks. Kazimierz Łazarzski (pierwszy z lewej), budowniczy kościoła, proboszcz Limanowej w latach 1890-1944.



W latach 1943-1946 i w 1947 r. parafią administrował ks. Władysław Grzesik. Proboszczem Limanowej w latach 1946-47 był ks. Antoni Zapała, kapelan marszałka Edwarda Śmigłego Rydza.

Pięćdziesiąt lat później - 11 września 1966 rok



Przed koronacją na ozdobnej lektyce ustawiają Cudowną Figurę ks. prałat Ludwik Kowalski i ks. prałat Piotr Bednarczyk.

Trzydzieści trzy lata temu - 26 czerwca 1933



Po rekoronacji Piety na Błoniach krakowskich, ks. Józef



Po koronacji Piety limanowskiej ks. prałat Piotr Bednarczyk i ks. Ludwik Kowalski, proboszcz Limanowej w latach 1947-1979.



Przywitanie Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej na Błoniach, 22 czerwca 1983 roku. Przed głównym portalem kościoła



Prof. Poręba, proboszcz Limanowej (1979-2010).



Powyżej: Rusztowania na zewnętrznej elewacji kościoła - 2013 rok.

Poniżej: Ks. Wiesław Piotrowski, proboszcz Limanowej (2010-nadal), zabezpiecza tubę z pamiątkowymi dokumentami na wieży kościelnej.



Limanowej, rekononowanej przez Jana Pawła II na krakowskich
kościółka bp Piotr Bednarczyk i bp Jerzy Ablewicz.





ELEKTRICAL®

Innowacyjność
Bezpieczeństwo
Jakość

„... już 20 lat

www.electrical.pl tel. 18 33 70 485

Mistrzowie skrzypiec, fortepianu i innych instrumentów

Wiktoria Jakięła zdobyła I miejsce w XXIII Muzycznych Prezentacjach Młodych Skrzypków – Bystrzyca Kłodzka i w VII Chrzanowskich Spotkaniach Młodych Instrumentalistów; II miejsce w Ogólnopolskim Konkursie „Mały czy duży wirtuoz” – Warszawa; III miejsce w II Ogólnopolskim Konkursie Miniatury Skrzypcowej – Warszawa. W tym samym konkursie II miejsce zajęła **Aleksandra Baczyńska**.

Bardzo wiele nagród i wyróżnień przyznali uczniom szkoły limanowskiej jurorzy konkursów organizowanych przez Szkołę Muzyczną w Trzcianie, przeznaczonych dla solistów i zespołów instrumentalnych, a także sprawdzających umiejętności gry A Vista oraz uzdolnienia recytatorskie.

Poniżej prezentujemy nazwiska pozostałych tegorocznych laureatów: **Szymon Biernat, Piotr Cygał, Marcin Tomaszek, Joanna Pałka, Jadwiga Mąka, Kacper Kaim, Miłosz Trzópek, Magdalena**

Kociołek, Zofia Potoniec, Faustyna Mamak, Karolina Szewczyk, Aleksandra Zapała, Tomasz Mąka, Justyna Kociołek oraz Iza Twaróg.

W roli organizatora...

Tradycją szkoły stał się organizowany od 1986 roku Małopolski Konkurs Młodych Skrzypków, Wiolonczelistów i Gitarzystów Szkół Muzycznych I Stopnia. „Ostatnio odbywa się co dwa lata, aby utrzymać wysoki poziom rywalizacji” – wyjaśnia dyrektor Wincenty Curzydło. „Ograniczyliśmy również zasięg konkursu do regionu Małopolski ze względu na liczbę uczestników. Tegoroczne przesłuchania odbywały się w dniach 27 – 29 kwietnia. Występy oceniali jurorzy – nauczyciele akademicy z Warszawy, Poznania i Bydgoszczy – autorytety w dziedzinie muzyki.”

W konkursie uczestniczyło 79 uczniów w różnych kategoriach wiekowych. Sukcesy odnieśli również reprezentanci limanowskiej PSM:

Gitara: wyróżnienie – **Jakub Biernat**
Wiolonczela: wyróżnienie – **Jan Rosiek**; II nagroda – **Katarzyna Puch**
Skrzypce: I nagroda – **Dominika Sławek**; III nagroda – **Aleksandra Baczyńska**; wyróżnienie – **Katarzyna Michalik i Wiktoria Cisak**.

„Rodzice” sukcesu

Nie byłoby osiągnięć uczniów, gdyby nie wsparcie ze strony najbliższych oraz praca, cierpliwość i życzliwość nauczycieli. Laureatów konkursów przygotowali: Renata Biernat, Renata Czaja, Halina Dyczek, Edyta Lachor – Mitkowska, Barbara Niezabitowska, Elżbieta Szymocha, Iwona Śliwa, Ireneusz Fołta, Mateusz Gurgul, Paweł Janczy, Krystian Jaworz, Paweł Moszycki, Ryszard Rechulicz, Sławomir Szymocha.

Na początku września ciche podczas wakacji sale szkolne wypełni znowu muzyka. Do budynku przy ulicy Kościuszki powrócą starsi uczniowie, naukę rozpoczyna pierwszoklasiści. Redakcja „Echa” życzy wszystkim sukcesów w nowym roku szkolnym.

Fotografie: arch. PSM w Limanowej



*Tylko guziki nieugięte
przetrwały śmierć świadkowie zbrodni
z głębi wychodzą na powierzchnię
jedyne pomniki na ich grobie*

*są aby świadczyć Bóg policzy
i ulituje się nad nimi
lecz jak zamartwychwstać mają ciałem
kiedy są lepką cząstką ziemi*

*przeleciał ptak przepływa obłok
upada liść kielkuje ślaz
i cisza jest na wysokościach
i dymi mgłą katyński las*

*tylko guziki nieugięte
potężny głos zamkniętych chórów
tylko guziki nieugięte
guziki z płaszczy i mundurów*

Zbigniew Herbert

Bieszczady. Solina. Przystań jachtowa w Polańczyku. Połowa września 2009 roku. Po wielu półrocznych pobytach na wodzie, już nie usypiał mnie romantyczny co prawda szum, czy też plusk fal pieszczących brzegi jeziora. Polubiłem w zastępstwie mały gadżet, który coś tam „gadał” do snu. I stało się! W środku nocy wybudził mnie cichy głos radiowej „Trójki”. Po chwili dotarły do mnie monotonnie powtarzane frazy wiersza, którego przewodnim motywem były „guziki”. Przerwywnik muzyczny! Niestety, nie doczekałem się tytułu ani też nazwiska autora odczytywanego tekstu wiersza. Jakoś jednak ta zasłyszana końcówka opowieści o „guzikach” długo nie dała mi spokoju. Kojarzyła się z jakimiś przeżyciami z dzieciństwa. Było w nich coś niezrozumiale bliskiego a zarazem niepokojącego. Rankiem odwiedziła mnie para znajomych bieszczadzkich plastyków, Agnieszka i Wojtek. Przydźwigali namalowaną przez Agnieszkę na wielkiej desce moją podobiznę, którą to później dowcipni koledzy nazwali złośliwie „ikoną Behemota”. W czasie pogawędki wspominałem mimochodem o tych „guzikach”, które tak bardzo zafrapowały mnie nocą. O dziwo, po kilku dniach, Agnieszka wręczyła mi zapisaną kartkę – „*masz te swoje guziki – znalazłam je w Internecie*”.

Faktycznie, były to „Guziki” autorstwa Zbigniewa Herberta, których to fragment zasłyszany kilka nocy wcześniej



Tablica poświęcona zamordowanym w Charkowie oficerom Wojska Polskiego. [Fot. Internet]



Polski Cmentarz Wojenny w Charkowie. [Fot. Internet]

tak bardzo mnie poruszył. Tę karteczkę z „Guzikami” odczytywałem przez następne dni wielokrotnie, a przed powrotem „na zimowisko” do Limanowej, zapakowałem na pamiętkę do żeglarskiego worka. Powoli zaczęło mi się wszystko układać w logiczną całość.

Rok 2009 a więc 70. rocznica wybuchu II wojny światowej, a 17 września w radiowej „Trójce” wierszem Herberta uczczono pamięć polskich oficerów wymordowanych przez Sowieców w Katyniu, Miednoje i Charkowie wiosną 1940 r.

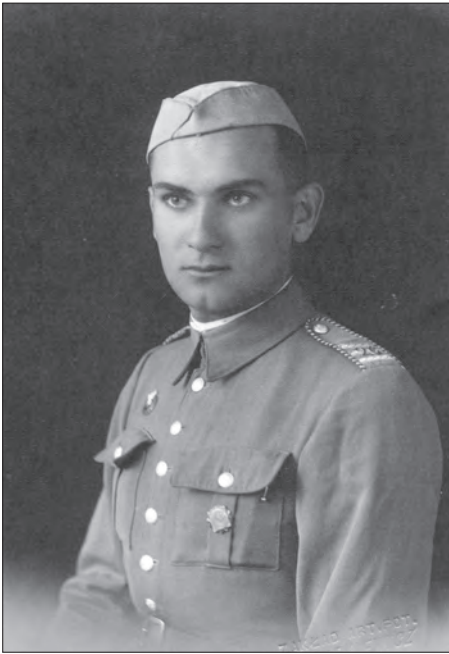
Ale skąd to moje nagłe przebudzenie

i zagadkowo niejasna, półsenna jeszcze reakcja na powtarzane monotonnie hasło „guziki”?

Długi czas trudno mi było zrozumieć, do chwili powrotu wspomnień wczesnego dzieciństwa.

Otóż to! Moimi pierwszymi zabawkami były właśnie „guziki”!

Deportowany w bydłym wagonie w 1946 r. młodszy brat ojca, Stanisław Pankiewicz zapakował pudło uratowanych przed grabieżą resztek z rodzinnego domu ojca na Kresach i dostarczył jego zawartość do Limanowej. Zachowały się



Franciszek Pankiewicz, adept Szkoły Podchorążych w Gródku Jagiellońskim.



Ppor. Franciszek Pankiewicz

z tej przesyłki przedwojenne dokumenty i fotografie rodziców, których wartość doceniłem dopiero po wielu latach. W dzieciństwie zachwyliły mnie rozmaite, różnokolorowe „guziki” z szuflady matczynej maszyny krawieckiej „Singer”. Układałem z nich na parkiecie podłogi najrozmaitsze wzory i figury, jakie tylko dyktowała mi szczenięca wyobraźnia. Przy okazji często zanudzałem matkę pytaniami, jaką to garderobę niegdyś zdołały, szczególnie te obszyte, wielokolorowe. Szczegółów oczywiście już nie pamiętam, ale jedna odpowiedź utkwiała mi głęboko w pamięci, gdy zafrapowało mnie kilka niepozornych, metalowych guzików z jakimiś ptaszkami, „to są guziki wojskowe od munduru twojego taty”.

Powoli zaczęto mnie obdarowywać nowymi, ciekawszymi zabawkami a „guziki” poszły na wiele lat w ką, czyli do szuflady. W 1990 roku, likwidując mieszkanie po rodzicach, zachowałem troskliwie uratowane przedwojenne dokumenty ojca, w tym zbiór podniszczonych co nieco fotografii.

A „guziki”?

Te również z sentymentu przesyłałem do foliowego woreczka, odłożyłem na półce w nowym mieszkaniu i zapomniałem o ich istnieniu na wiele lat.

Co było dalej z tymi nieszczęsnymi „guzikami”?

Jak zwykle wróciłem z Bieszczad przed dniem Wszystkich Świętych 2009 r., uporządkować groby rodziców. Przy rozpakowaniu wpadła mi w ręce karteczka

Agnieszki z wierszem Zbigniewa Herberta. Rozpocząłem poszukiwania „guzików”. Miałem kłopoty z ich odszukaniem. Pomyślałem - przepadły bezpowrotnie. Po latach przypadkowo odkręciłem mały słoiczek po dżemie z zagadkowymi, zapomnianymi, brzęczącymi kuriozami, zgromadzonymi w odległej przeszłości.

I co z niego wysypałem?

Szelągi Jana Kazimierza z połowy XVII wieku, koronne i boratynki litewskie, jakieś CK austriackie monety, odznaki i żetony piwne, przedwojenną odznakę Marszałka Piłsudskiego i orzełek w koronie z niewiadomego munduru, ale też połamany, hitlerowski sygnet SS z trupa główką i do pary równie ohydną sowiecką gwiazdkę z paszczką „Lenina”, ale też zachowany z sentymentem komplet amerykańskich guzików wojskowej kurtki „Riverside Military Academy”, którą to zdarłem do cna za studenckich czasów. Lecz wśród tych „znalezisk” największą radość sprawiło mi kilka wojskowych guzików ojca, o których istnieniu przypomniał mi wiersz Herberta, a momentu ich schowania w słoiku po dżemie nie potrafię już określić. Grunt, że nie trafiły na śmietnik.

Pewnego dnia pokazałem swoje „słoikowe odkrycie” redaktorowi „EL”. Zainteresowany „żetonami piwnymi” wykorzystał je opisując dzieje limanowskiego browaru („EL” nr 262-263 z 2016 r.).

Na tym się nie skończyło. Zostały jeszcze „guziki”! Po wielu perswazjach zachęcił mnie do utrwalenia na piśmie

rodzinnej historii związanej z tymi „guzikami”.

Spoglądam więc na zachowaną karteczkę Agnieszki z „Guzikami” Herberta i trzymając ze wzruszeniem w drżącej dłoni jeden z „guzików” ojca rozpoczynam tę opowieść.

Franciszek Pankiewicz

Dzięki Bogu odnalezione guziki choć „nieugięte” nie należą do grobowych pamiątek. Mój ojciec pędzony w mundurze pod konwojem NKWD po tragicznym 17 września na wschód cudem ocalał. Lecz szczątki oficerów bliskich mej rodziny oczekują modlitwy, a guziki ich mundurów rdzewieją w tej nieludzkiej, sowieckiej ziemi, o czym później.

A kiedy ojciec doczekał się tych pamiątkowych dla mnie „guzików”?

W latach 90. otworzono dostęp do przedwojennych archiwów wojskowych (CAW). Tam rozpocząłem swoją kwerendę. Z otrzymanych kopii dokumentów wynika, że swoją „przygodę” z wojaczką rozpoczął bardzo wcześnie. Już jako 12 latek, 14 listopada 1918 r. w krytycznym czasie walk z Ukraińcami we Lwowie, zgłosił się jako ochotnik do Wojska Polskiego i został przydzielony do Rządowej Straży Bezpieczeństwa. Z dzisiejszej perspektywy czasu urzędowy wpis o przyjęciu do WP dwunastolatka wydaje się absurdalny, ale dwukrotnie odwiedzając lwowski Łyczaków, z dumą i wielkim szacunkiem pochylałem głowę przed mogiłami: 12, 13 i 14 letnich chłopców na „Cmentarzu Orłąt”. W zachowanym, odręcznym brudnopisie curriculum vitae z lat 30., ojciec jedynie skromnie wspominał o przerwaniu nauki w latach 1918/19 i 1919/20 z powodu zamknięcia szkoły, do której powrócił dopiero w 1920 roku.

Najwyraźniej, bardzo samokrytycznie oceniał rolę swojego udziału w walkach o byłą stolicę Galicji, którą od czasów austriackich był zawsze Lwów z siedzibą Sejmu Krajowego. Zapewne nie zdawał sobie sprawy z faktu, że w 1918 roku w czasach wojennego rozgardiaszu został oficjalnie uznany za żołnierza, co w późniejszych latach potwierdzono w urzędowym dokumencie.

Jednak Wojsko Polskie o nim nie zapomniało, co potwierdza archiwalna kopia CAW datowana 26 kwietnia 1921 r. o przyznaniu Franciszkowi Pankiewiczowi Odznaki Honorowej „Orłęta”. Nie wiem czy jej oryginał kiedykolwiek dotarł do jego rąk. Przy mnie nigdy o tej odznace



W czasie ćwiczeń wojskowych w latach trzydziestych ubiegłego wieku.

nie wspominał, może z obawy przed moim gadulstwem od chwili, gdy pochwalilem się w podstawówce jego wyczynem, że „uciekł z ruskiej niewoli”. Niestety, w swoich zbiorach posiadam jedynie replikę tego odznaczenia.

W latach gimnazjalnych organizował wakacyjne wielodniowe wyprawy łodzią rybacką wzdłuż Bugu, a później brał udział w długich wyprawach górskich szczytami Karpat Wschodnich. W 1928 roku ze swoim szkolnym przyjacielem Franciszkiem Zielińskim dotarli o dziwo aż do Limanowej. Podejrzewam, że zapędzili się przez Pieniny w Gorce i jak pamiętam, ojciec wspominał, że Limanowa była najbliższą stacją PKP, skąd powrócili do Lwowa i rodzinnej Kamionki Strumiłowej.

Po maturze, w 1929 r. odbył obowiązkowe roczne przeszkolenie wojskowe w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty Nr 10 Okręgu Korpusu X w Gródku Jagiellońskim. Po jego ukończeniu rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, które zmuszony był niestety przerwać po 2 latach z powodu braku środków finansowych (lata światowego kryzysu) i podjął pracę w Urzędzie Skarbowym.

Jednak wojsko o nim w dalszym ciągu pamiętało. W latach 1932 i 33 odbył parotygodniowe ćwiczenia wojskowe w 26. Pułku Piechoty we Lwowie i został awansowany na stopień oficera podporucznika rezerwy piechoty. Jesienią 1935 r. został powołany na przeszkolenie

do 5. Pułku Strzelców Podhalańskich w Przemyślu. Tam też na lądowisku Winna Góra dosięgła go lotnicza przygoda – szkoleniowe wloty na sprowadzonym jak podejrzewam z zakładów WBS w Legionowie, balonem obserwacyjnym na uwięzi typu BD (Ballon Dilatable). Dla odmiany w 1937 r. został powołany do 49. Huculskiego Pułku Strzelców Górskich w Kołomyi. Ostatnie, sześciotygodniowe ćwiczenia odbył w 1939 r. w 24. Pułku Piechoty w Łucku na Wołyniu, do którego otrzymał przydział mobilizacyjny na wypadek wojny.

Czas wrócić do nurtujących mnie od początku „guzików” z munduru ojca. Trzymając w ręku jeden z nich, odczytuję jednocześnie fragmenty odszukanego opisu jego charakterystyki.

Awers: przedstawia orła w koronie otwartej o trzech kwiatonach, z głową zwróconą w swoją prawą stronę, z tzw. przepaską zakończoną rozetami z piór przypominającymi pięciopromienne gwiazdy. Przepaska, zwana również sztynglem umieszczona jest w górnej części skrzydeł orła.

Rewers: sygnowany B.T.K. 1938.

Przeznaczenie i datowanie: guzik ten jest określany mianem wzór 1928 r. Zaczął obowiązywać od 29 marca 1928 r. Guzik wykonany z białego metalu, masywny, o wymiarach: Duży guzik o średnicy 22mm, mały guzik o średnicy 16mm. Guziki duże noszone były na piersiach bluzy mundurowej i płaszczu, na rękawach, na dragonach (pas z tyłu płaszczu) i na kieszeniach. Guziki małe noszone były na naramiennikach, na podpince czapki oraz na rozcięciu płaszczu oficerskiego.

Wytwórca: Bracia Thorm Kraków. Firma wykorzystywała sygnaturę B.T.K., do której dodawano pełny rok produkcji.

Wszystko się zgadza. Pieszczyce teraz w dłoni 5 małych guzików wojskowych ojca o średnicy 16mm datowanych 1938 r., co świadczy, że pochodzą z czasów jego ostatnich przed wojną sześciotygodniowych ćwiczeń wojskowych, które odbył w 1939 r. w 24. Pułku Piechoty.

31 sierpnia 1939 r. wyruszył zgodnie z ogłoszoną dzień wcześniej powszechną mobilizacją, która objęła m. in. wszystkich oficerów rezerwy bez względu na wiek, kategorię zdrowia, rodzaj broni (służby). Towarzyszył mu przyjaciel, również ppor. rezerwy WP, ku zaskoczeniu ojca zmobilizowany do tego samego 24. Pułku Piechoty w Łucku. Po dotarciu do Łucka okazało się, że garnizon pułku był już

opuszczony. Pełniący służbę oficer dyżurny skierował ich do formowanego naprędce oddziału WP, którego to nazwy po upływie lat nie potrafię już ustalić. Odszukałem jedynie, że mobilizacja alarmowa macierzystej jednostki ojca (24 pp) została przeprowadzona jeszcze w dniach 14-16 sierpnia, po czym pułk przerzucono z Łucka do rejonu Bydgoszczy. W trakcie Kampanii Wrześniowej brał udział w szeregu ciężkich walk w ramach Armii „Pomorze” do 17 września 1939 r., kiedy to został zdziesiątkowany pod Iławą i rozproszony. Nieliczne jego grupy dotarły do Kampinosu, Modlina i Warszawy, dzieląc los rozbitków. Ujęci przez Niemców oficerowie przeżyli jednak wojnę w hitlerowskich „Oflagach”.

A co czekało żołnierzy w oficerskich mundurach polowych, sformowanego naprędce oddziału, do którego trafili Pankiewicz i Ligaszewski?

17 września nocą dotarli wojskowym eszelonem kolejowym do przygranicznego Zdołbunowa na Wołyniu. Jak powszechnie wiadomo, nad ranem, około godz. 3:00 (5:00 czasu moskiewskiego) ruszyła na Polskę 750-tysięczna bolszewicka „Krasnaja Armia”. Pod Zdołbunowem broniły się bezskutecznie nieliczne strażnice KOP (Korpusu Ochrony Pogranicza), utworzone jeszcze w czasach pokojowych do obrony wschodniej granicy II RP, jedynie przed penetracją agentów, terrorystów i co najwyżej zwartych, uzbrojonych, sowieckich oddziałów dywersyjnych. Rozbity pod Zdołbunowem, niewielki oddział WP złożył broń. Tutaj ojciec stracił swoje pierwsze „guziki” (te duże). Ratując konie, z ostrzelanych i objętych płomieniami wagonów, nie miał czasu zatroszczyć się o swój wojskowy płaszcz.

Co było dalej?

Tu pozwolę sobie sięgnąć do krótkiego fragmentu z „EL” (nr 202-203 z 2011r.). „NKWD z szeregu żołnierzy wygarnęło oficerów i popędzono ich kolumną jeńców na wschód, ku nieznannej przyszłości. Ojca zgarnięto do niewoli w polowym, drelichowym mundurze (płaszcz stracił przy ratowaniu koni).

Miał jeszcze przy bluzie torbę polową (może raportową), którą ruscy wypróżnili mu z dokumentów, zostawiając jedynie przybory toaletowe. Wrześniowa pogoda była jeszcze słoneczna, ale wieczory i noce były już zimne. Co jakiś czas NKWD-ści zarządzali dla odpoczynku postój, przez nich nazywany „popasem”. Sowietci nie dawali jeńcom ani łyżki strawy,

ale najbardziej dręczyło utrudzonych ciężkim marszem pragnienie. W czasie tych krótkich chwil „popasu” zbiegali się z okolicznych chałup ludzie, głównie kobiety, wśród lamentów podawali jeńcom chleb i rozdawali w kubkach, przydzwiganą wiadrami wodę. Podczas jednego z tych dziennych „popasów” ktoś ulitował się nad ojcem, widząc że jest w letnim, drelichowym mundurze i dał mu jakiś stary, podarty, brudny, ale gruby i ciepły, pamiętający odległe czasy, sięgający do kostek szynel. Ten strój, jak się później okazało, uratował ojcu życie i pozwolił mu przetrwać na zimnie jeszcze wiele nocy. Na którymś z kolejnych „popasów” zbiegła się jak zwykle miejscowa ludność. Podejrzewam, że było to już za graniczną rzeką Horyń, bo litowali się nad losem żołnierzy z ukraińska „nasi nieszczęśni plennyje” (nasi nieszczęśni jeńcy).

Żołdacy z NKWD stwierdzili, że swoją sympatią okazowaną jeńcom byli zbyt nachalni, więc zaczęli ich bagnietami odpychać. Szczęśliwym trafem ojciec miał zarzucony na mundur, ten cywilny, stary, darowany z serca, wypłowiały płaszcz. Stał wówczas na skraju konwoju. Ktoś z bolszewickich żołnierzy, przeganiając wieśniaków od jeńców, zagarnął bagnietem również ojca i wypchnął go poza kordon NKWD. Okazało się, że ten śmierzący płaszcz, ukrywał w sobie cudowny zapach wolności. Oszołomiony początkowo ojciec nie wiedział co robić. Ochłonął po chwili i zaczął rozglądać się za przyjacielem Marianem. Zauważył go siedzącego na skraju drogi z opuszczoną głową i twarzą ukrytą w dłoniach. Chcąc mu dać znać, że jest już poza konwojem straży, odpiął spod szynela swoją raportówkę, upuścił dyskretnie na ziemię i kopnął ją w kierunku Ligaszewskiego. Ta przesunęła się po piachu kilka metrów i zatrzymała zaledwie pół kroku od jego nóg. Ale Marian nic nie zauważył, zagrożony w swoich myślach nie podniósł głowy. Po chwili rozległy się komendy naczelnika konwoju. Straż NKWD poderwała udreńczonych polskich żołnierzy z krótkiej chwili odpoczynku, okrzykami „podnimajsia, dawaj, dawaj” i po paru minutach zdrętwiały z rozpaczy ojciec oglądał tylko znikające w dali sylwetki swoich (już byłych) towarzyszy sowieckiej niewoli.

Rozpoczął więc powrotną wędrowkę do domu, do rodziny. Po wielu dniach skrajnie wyczerpany, trafił na życziwego Polaka. Po namowach gospodarza

przebrał się w darowane cywilne ubranie, co przyszło mu uczynić pod wielką presją, bo złożona przysięga wojskowa i honor oficerski tego nie dopuszczały. Przekonała go wreszcie, solennie złożona przez gospodarza obietnica, że ten „zrzucony” mundur pieczołowicie przechowają. Ojciec nigdy po ten mundur nie wrócił i tak ratując życie, stracił wraz z mundurem resztę swoich wojskowych „guzików”. Do domu dotarł dopiero około Wszystkich Świętych. Jego przybycie do Kamionki Strumiłowej zostało zarejestrowane 1 listopada 1939 r.

Młodszy brat Stanisław, zaopatrzył go w fałszywe sowieckie „papiery” ukrywające jego urzędniczą i wojskową tożsamość, co uchroniło go krótki okres czasu przed „polowaniem” na wrogów narodu radzieckiego. Niestety, z racji pełnionych przed wybuchem wojny obowiązków Naczelnika Urzędu Skarbowego był znaną postacią. Ostrzegany, w czasach organizowanych przez władze sowieckie słynnych deportacji 1940 roku, wiele dni ukrywał się w stogach siana czy też słomy, dokarmiany nocami przez żonę. O dziwo, mógł się ujawnić i podjąć jakąkolwiek pracę dla utrzymania rodziny, dopiero po napaści Hitlera na Stalina w czerwcu 1941 roku.

A co spotkało wspomnianych wcześniej przyjaciół ojca, noszących oficerskie mundury WP z guzikami wzór 1928?

Wspominał o nich do końca swojego życia. Zmarł w 1980 roku.

Starając się, choć w ograniczonym zakresie, spełnić synowski obowiązek odnalezienia śladów ich, jak się okazało jakże tragicznych losów, ruszyłem po 1990 roku utartym już szlakiem, odtajnionych wreszcie archiwów II RP i PRL-u. Oddając zarazem (nie waham się użyć tego słowa), należny hołd ofiarom stalinowskich zbrodni, przedstawiam skromny efekt moich poszukiwań.

Marian Ligaszewski

Urodzony w 1901r. w Radymnie, powiat Jarosław, województwo Lwów. Był 6 lat starszy od mojego ojca. Naukę w szkole średniej rozpoczął w 1911 r. w Stanisławowie, którą kontynuował we Lwowie, gdzie udzielał się w harcerstwie, odbywał także ćwiczenia w Drużynach Strzeleckich – polskiej organizacji niepodległościowej utworzonej we Lwowie. W ostatnim 1918 roku „Wielkiej Wojny”, jak ją wówczas nazywano, przerwał naukę i 1 listopada wstąpił ochotniczo do

▶ utworzonego naprędce w obronie Lwowa polskiego oddziału wojskowego, który w późniejszych, oficjalnych dokumentach nazwano „Grupą artylerii konnej kpt. Dąbrowskiego”.

Od 10 maja do 12 października 1919 roku kontynuował walkę z Ukraińcami, już jako kanonier w regularnym oddziale WP – 5. Pułku Artylerii Ciężkiej. W czasie najazdu bolszewickiego w 1920 r. zgłosił się ponownie do WP i walczył w składzie 12. Pułku Artylerii Ciężkiej m. in. na froncie litewsko-białoruskim. Z powodu tych wojennych obowiązków, egzamin dojrzałości zdał w 1922 r. jako absolwent III Gimnazjum im. Króla Stefana Batorego we Lwowie. Po maturze rozpoczął studia prawnicze na lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza, które podobnie jak mój ojciec zmuszony był przerwać z braku środków finansowych na kontynuowanie nauki.

Za swoje wojenne dokonania został uhonorowany szeregiem licznych odznaczeń wojskowych.

W roku 1925 został powołany na ćwiczenia wojskowe w 52. Pułku Strzelców Kresowych w Złoczowie na Wołyniu, zaś w 1928 r. do 6. SPR w Zaleszczykach, gdzie ukończył ośmiotygodniowy kurs kandydatów na porucznika rezerwy.

Od maja 1929 r. rozpoczął pracę jako księgowy na stanowisku kierownika Rachuby Wydziału Powiatowego w Kamionce Strumiłowej, rodzinnym mieście mego ojca. Pełnił tam również funkcję powiatowego komendanta Związku Strzeleckiego. W latach 30. bardzo zaprzyjaźnił się z moim ojcem, pełniącym wówczas obowiązki naczelnika Urzędu Skarbowego. Ich losy połączyło wkrótce obwieszczenie mobilizacyjne ogłoszone 30 sierpnia 1939 r., zobowiązujące obu oficerów rezerwy stawić się w tym samym 24. Pułku Piechoty w Łucku, co też potwierdza odnaleziony zapis w „Książce Stanu Służby Oficerskiej ppor. Mariana Ligaszewskiego – str.6.

Tyle konkretnych odczytałem z archiwalnych dokumentów wojskowych o przyjacielu ojca, którego wspominał jakby z wyrzutami sumienia, że opuścił go w nieszczęściu, pędzonego w konwoju NKWD na „Nieludzkiej Ziemi” jak ją trafnie, z goryczą, grozą i obrzydzeniem nazwała znana lwowska poetka Beata Obertyńska w swych łagrowych wspomnieniach, których amerykańskie wydanie wpadło w moje ręce jeszcze za studenckich czasów. Co prawda, w „podziemnym”

wydaniu Listy Katyńskiej, natknąłem się w latach 80. na znane mi z rodzinnych opowieści nazwiska, m. in. Mariana Ligaszewskiego, więźnia obozu Starobielsk, niestety bez bliższych danych identyfikacyjnych. Kontynuowałem więc z coraz to większym uporem, swoje rozpoczęte w początkach lat 90., poszukiwania zaginionych bez śladu, w czasach sowieckiej okupacji Kresów Wschodnich II RP, bliskich mojej rodziny. Kwerendą dotarłem poza Centralne Archiwum Wojskowe do zasobów Straży Granicznej, MSWiA, Muzeum Katyńskiego i Ośrodka KARTA. Niestety, otrzymałem w większości, jedynie szereg zdawkowych odpowiedzi, a zmarli nie przekażą już żadnych informacji. Zacytuję jedynie fragment otrzymanej odpowiedzi z Archiwum MSWiA z 1999 r. „*Na wykazie NKWD jeńców obozu starobielskiego widnieje następujący zapis: Ligaszewski Marian s. Jana ur. 1901 r. – poz. 2030. Jest wiadome, że jeńcy obozu starobielskiego byli wywożeni na stracenie od 5 kwietnia do 12 maja 1940 roku. Mordowano ich w siedzibie NKWD w Charkowie, dokąd przewożono ich transportem kolejowym i grzebano w VI kwaterze strefy parkowo – leśnej pod Charkowem, 18 kilometrów od miasta. W miejscu tym jest budowany cmentarz wojskowy (już ukończony – przyp. red.). Na opracowanej liście epitafiów nagrobnych dla budowanego cmentarza jeńców obozu starobielskiego będzie widniał napis: Ppor. Marian Ligaszewski * 17 V 1901 Radymno, urzędnik, 24 pp. +1940.*

Tak więc, dopiero po upływie 60 lat od tragicznego 17 września 1939 r., odnalazłem potwierdzenie śladu przyjaciela ojca, z którym pędzony był na pewną śmierć strzałem w tył głowy w charkowskiej mordowni sowieckiego NKWD. Dlatego też jestem głęboko przekonany, że wolałby nigdy nie doczekać, ustalonej przez syna informacji, gdzie i w jakich okolicznościach zakończył swe niespełna 40 letnie życie Marian Ligaszewski. Niestety, po upływie wielu lat nie potrafię już zidentyfikować jego twarzy wśród ocalałych, przedwojennych fotografii ojca.

W cytowanej wyżej, archiwalnej informacji MSWiA z 1999 r., odnalazłem jeszcze jedno poszukiwane nazwisko, **Franciszka Zielińskiego**. Był szkolnym przyjacielem ojca.

Razem kończyli w Kamionce Strumiłowej Wyższe Gimnazjum im. Kornela Ujejskiego. Któż dzisiaj pamięta słynny niegdyś „Chorał”, patrona

ich szkoły, spopularyzowany w czasach Wiosny Ludów, którego słowa „*Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, Do Ciebie, Panie, bije ten głos...*”, stały się hymnem Powstania Styczniowego.

Podczas ostatniej, wakacyjnej, górskiej wyprawy dotarli obaj w 1928 r. do Limanowej. Po maturze, Franciszek Zieliński ukończył studia medyczne na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Lwowskiego, ożenił się z ich gimnazjalną koleżanką, Jadwigą, a w 1936 r. został chrzestnym ojcem mego starszego brata Leszka. W tychże to czasach został także szczęśliwym ojcem swojej jedynej córki Ewy. Niestety, moja kwerenda jego losów kończy się jedynie krótkim stwierdzeniem typu: „*CAW nie jest w stanie podjąć jakichkolwiek poszukiwań w zasobach archiwalnych, z uwagi na brak teczeki akt personalnych*”.

Archiwum Wschodnie Ośrodka KARTA odnotowuje: „*Franciszek Krzysztof Zieliński s. Feliksa ur. 1908 r. podporucznik rezerwy, lekarz, figuruje w spisie 3739 jeńców polskich ze Starobielska, rozstrzelanych w kwietniu – maju 1940 r.*”

Z Archiwum MSWiA otrzymałem odpis z tekstu listy epitafiów nagrobnych budowanego cmentarza jeńców obozu Starobielskiego w Charkowie o treści „**Ppor. Franciszek Zieliński *7 X 1908, lekarz med., 6 szp. okr. + 1940**”.

Z tej ostatniej krótkiej wzmianki potrafiłem jedynie odszyfrować, że poza posiadanym stopniem oficerskim był lekarzem Szpitala Okręgowego nr 6 przy ulicy Kurkowej 31 we Lwowie. Jak podejrzewam, w 1939 r. z racji swojego



Franciszek Zieliński z żoną Jadwigą - Stryj 1935 rok.



Zima na Wileńszczyźnie - 1938/39. Stoją od lewej: Franciszek Pankiewicz, Janina Okuniewicz, Irena Pankiewicz, Hieronim Okuniewicz. Przed nimi Lesio Pankiewicz i Wandzia Okuniewicz.

zawodu, został zmobilizowany jako lekarz wojskowy. Nazwę i numer jednostki wojskowej pochłonął czas.

Po wojnie samotna Jadwiga Zielińska dotarła do Polski i zamieszkała w Makowie Podhalańskim. Często odwiedzała ojca w Limanowej. Została w 1949 r. moją chrzestną matką.

Pozostała jeszcze jedna ofiara sowieckich zbrodni, której losów poszukiwałem.

Hieronim Okuniewicz

Jedyny ze wspomnianych wcześniej, zawodowy oficer, o ile dobrze zapamiętałem w stopniu kapitana. Był szwagrem ojca i matki, mężem jej starszej siostry Janiny Hermanowicz. To dzięki jego zaproszeniu, moi przyszli rodzice poznali się na oficerskim balu 26. Pułku Piechoty garnizonu lwowskiego. W latach 30. służył w Korpusie Ochrony Pogranicza „Stołpce” w województwie nowogródzkim. Z młodszą siostrą Janką zamieszkali w służbowym domku Batalionu KOP. W ramach akcji osiedleńczej prowadzonej na Kresach

Wschodnich II RP, zwanej popularnie „ziemia dla żołnierzy”, nabył w powiecie lidzkim majątek Horniaty, który zamierzał zagospodarować po przejściu na emeryturę. Ich córka Wandzia urodziła się w 1934 w lwowskim szpitalu przy ul. Kurkowej, gdzie lekarzem był wspomniany wcześniej przyjaciel rodziny, Franciszek Zieliński. Po sowieckiej agresji 17 września 1939 r., graniczny Batalion KOP „Stołpce”, stawiał jedynie sporadyczny opór przeważającym siłom wroga do 20 września, cofając się w kierunku Nowogródka. Rodzinne pamiątki i dokumenty, po zajęciu Stołpców przez armię bolszewicką, zostały rozgrabione i zniszczone przez nowych lokatorów. W archiwach Straży Granicznej i CAW nie odnaleziono żadnych teczek personalnych jego służby w Korpusie Ochrony Pogranicza. Losy Hieronima Okuniewicza pozostały niewyjaśnione, pokryte mgłą tajemnicy od 17 września 1939 r. do czasów obecnych. Niestety, w rodzinnych zbiorach nie zachowała

się ani jedna fotografia mego wuja w oficerskim mundurze.

Po wojnie w 1946 r. Janina Okuniewicz przybyła do Limanowej z córeczką Wandzią, która uczęszczała do tułejszego Liceum, gdzie 1951 r. zdała maturę.

Tragedia rodzin

Wymordowanie polskich oficerów, noszących wojskowe mundury, ozdobione metalowymi guzikami z orłem wzór 1928 nie usatysfakcjonowało sowieckich zbrodniarzy pozbawionych ludzkich uczuć, nie szanujących żadnych praw międzynarodowych w tym Konwencji Genewskiej. Zarządzono bestialskie deportacje pozostałych przy życiu rodzin unicestwionych żołnierzy.

Janinę Okuniewicz z małą 5-letnią córeczką więziono w Nowogródku. Jadwigę Zielińską z jej ojcem i małą córeczką Ewunią zesłano do łagrów w głębi Rosji. Nie potrafię się skupić na opisanu ich cierpienia. Oddaję więc głos jej słowom z listu wysłanego memu ojcu w 1946 roku, cytując jego krótki fragment: (...) *Moja Ewunia zapada na ciężką anginę, a bez opieki lekarskiej i medykamentów umiera po ośmiodniowej chorobie 8 marca 1941 r. W tydzień po śmierci Ewuni dostajemy list od Ojca, pisze z łagrów w Solikamsku nad Kamą, gdzie został przewieziony po półrocznej ciężkiej „turmie”.*

W dzień urodzin Ewuni 6 kwietnia jest jej pogrzeb, cały miesiąc leży w spichlerzu na zboże w trumience, bo warunki atmosferyczne nie pozwalają na wykopanie grobu (...).

Odnalezione wśród dokumentów po śmierci mego ojca, te pozostałe ze starości karteczki listu Jadwigi Zielińskiej mej chrzestnej, przechowuję z wielkim szacunkiem jak świętą relikwię.

Kto napisałby te kilka słów, gdyby mego przyszłego ojca, sowieckie NKWD, skutecznie dopędziło do obozu jenieckiego w Starobielsku?

Kończę więc opowieść o mundurowych „guzikach”, Żołnierzy – Kresowiaków II RP, których, szczątki odnaleziono w podcharkowskim lesie, przygnębiającą refleksją: „*Ruszyli na wojnę obronną z Niemcami – zostali bestialsko wymordowani przez Ruskich*”.

Cześć Ich Pamięci!

Fotografie: arch. Marka Pankiewicza

Wnętrza dworu Marsów

W Limanowej, a zasadzie na obrzeżach miasta, do 1945 roku były dwa dwory. Pierwszy usytuowany we wsi Mordarka, drugi zaś w Starej Wsi (obecnie w granicach miasta).

Historię dworów limanowskich opisywano wielokrotnie. Nikt jednak nie przedstawił planu rozmieszczenia pomieszczeń we wspomnianych dworach oraz nie dokonał opisu ich wnętrza.

Po wielu poszukiwaniach, przeszukiwaniu źródłowych materiałów i archiwalnych fotografii, przy pomocy przyjaciół „Echa Limanowskiego” udało się zgromadzić na tyle wiarygodny materiał, że pozwolił w sposób przejrzysty dopełnić wiadomości na ten temat.

W czasie gromadzenia wiedzy, jak również w czasie poszukiwania potomków właścicieli wspomnianych dworów, zbieg okoliczności w sposób zaskakujący, pozwalał wyjaśnić wiele kwestii.

Zdawało się, że ustalenie planu wnętrza z natury rzeczy w istniejącym dworze Marsów w Limanowej – Starej Wsi będzie problem łatwiejszym do rozwiązania niż wykonanie tego samego zadania w nieistniejącym dworze Sitowskich – Gibasów w Mordarce, który spłonął w 1945 roku.

Okazało się jednak, że tak się nie stało. Trudno bowiem było dotrzeć do dokumentów, które by w sposób wiarygodny potwierdzały prawdziwy układ wnętrza w limanowskich dworach. Poszukiwanie godnych zaufania konsultantów, potomków rodzin właścicieli tych dworów, także nie było łatwym zadaniem.

Szybciej udało się dotrzeć do autorytatywnych materiałów ilustrujących plan wnętrza dworu w Mordarce. Dużą pomoc w tym zakresie oddał Stanisław Jacek Kołodziejczyk, powiązany z dworem w Mordarce przez rodzinę Bochenków. Jego wuj, Władysław Bochek, był mężem Marii Gibasównej, córki ostatnich właścicieli dworu, Izydora Gibasa

i Władysławy z Sitowskich. On wskazał źródło materiałów, które stały się podstawą do napisania artykułu, „*Tajemniczy dwór – addendum*” („EL”, nr 212 – 213, maj – czerwiec 2012 r.). Potwierdzeniem autentyczności tego planu była również konsultacja z ostatnim mieszkańcem dworu, prof. Tadeuszem Gibasem (zmarł 30 kwietnia 2015 r.).



Goście i delegacje zgromadzeni z okazji 50. rocznicy zaślubienia Franciszki Marsowej z Żelichowskich z Antonim Józefem Marssem. Fotografia wykonana przed dworem w Starej Wsi 13 lipca 1896 roku.



Dwór Marsów (podjazd) - lata trzydzieste XX wieku.

Inaczej było w przypadku dworu Marsa w Starej Wsi – Limanowej. Wprawdzie dwór istnieje, znajduje się tu Muzeum Regionalne Ziemi Limanowskiej, ale po nacjonalizacji majątku Marsa w 1945 r. sam dwór, a szczególnie jego wnętrza było kilkakrotnie zmieniane i adaptowane na potrzeby instytucji, które mieściły się tu po II wojnie światowej. Były to kolejno: magazyny zboża, Liceum Leśne, Państwowy Ośrodek Maszynowy, mieszkania prywatne oraz biura Powiatowego Sztabu Wojskowego i PTTK.

Przez wiele lat nie udawało się ustalić faktycznego planu wnętrza tego dworu. Poszukiwania materiałów w różnych publikacjach nie dawały zadowalających rezultatów. Dopiero nawiązanie kontaktu przez prof. Andrzeja Kuligę z p. Krystyną Mars – Gawlikowską, stworzyło nadzieję na zrealizowanie zamierzonego zamyśłu. Pani Krystyna Mars Gawlikowska, dr nauk medycznych, jest w prostej linii po mieczu potomkinią rodziny Marsów. To córka Krzysztofa, właściciela majątku Sądowa Wisznia k. Lwowa, wnuczka Kazimierza, właściciela majątku: Sowliny, Łososina Górna, Pustomyty k. Lwowa,



Ostatni ślub w rodzinnej kaplicy Marsów - 1933 r.



Spacer w ogrodzie Marsów.

prawnuczka Antoniego Józefa Marsa, właściciela majątku i dworu w Starej Wsi.

W rezultacie współpracy p. prof. Kuliga z p. Krystyną powstał cykl artykułów opisujących historię rodziny Marsów w Limanowej pod jednym tytułem: „Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu” („EL” nr 218-219, listopad – grudzień 2012 r. – cz.1; nr 220-221, styczeń – luty 2013 r. – cz.2. W artykule tym szczegółowo prof. A. Kulig opisał plan centralnego fragmentu majątku w Starej Wsi, a także przedstawił szkic zagospodarowania mieszkalnej i gospodarczej części majątku rodziny Marsów. Cz. 3. tego cyklu ukazała się w nr 222-223, marzec – kwiecień 2013 r.).

Pomimo bogatych w treść opisów związanych z historią i majątkiem rodziny Marsów nie udało się w tych artykułach opisać wnętrza starowiejskiego dworu. Konsultantka artykułów, p. Krystyna Mars do Limanowej przybyła z rodziną w okresie okupacji jako siedmioletnia dziewczynka i co więcej przebywali tutaj stosunkowo krótko, tak więc układ pomieszczeń dworu, siłą rzeczy nie mógł być szczegółowo zapamiętany przez dziecko.

Poszukiwania materiałów trwały nadal. Dopiero w 2014 roku udało się osiągnąć cel. Okazało się, że p. Ewa Cichoń, przygotowując w 2000 roku materiały do swojej pracy magisterskiej o tytule „Rodzina Marsów i ich Stara Wieś”, miała kontakt z Zofią Chrzęszcz przebywającą w latach międzywojennych w dworze w Limanowej i mającą bliskie relacje

z ostatnim właścicielem majątku Marsów w Starej Wsi, Grzegorzem Marsem. Po nacjonalizacji limanowskiego majątku i dworu, Grzegorz Mars zamieszkał w Krakowie, zmarł w 1961 roku. W kamienicy należącej do Grzegorza Marsa po jego śmierci zamieszkała Zofia Chrzęszcz.

Kim ona była ?

Była córką Wandy Wilczyńskiej i Konrada Wolframa, administratora browaru w Limanowej oraz cegielni w Sowlinach, z której pochodziła cegła na budowę limanowskiej świątyni. Jej ojciec (Konrad) to syn Marii Anny Mars i Adolfa Wolframa. (Maria Anna była piątym dzieckiem Antoniego Józefa Marsa i Franciszki z Żelechowskich, dziedziców Starej Wsi). Tak więc Zofia Chrzęszcz

po kądzieli jest prawnuczką dziedzica majątku w Starej Wsi, Antoniego Józefa Marsa. To ona w kaplicy dworskiej 5 sierpnia 1933 r. poślubiła Emanuela Chrzęszcza, był to ostatni ślub w rodzinnej kaplicy Marsów w limanowskim dworze. Zbiegiem okoliczności jej mąż Emanuel, był bratem Olgi Mars i Zofii Goetz Okocimskiej.

Dzięki przekazowi Zofii Chrzęszcz można było odtworzyć układ wnętrza dworu Marsów w Starej Wsi sprzed 1945 roku.

Dwór Marsów jest budowlą murowaną, w typie dawnych polskich dworów szlacheckich z pięknym dachem polskim, łamanym, pokrytym czarną dachówką. Najstarsza jego część pochodzi z XVIII wieku. W okresie późniejszym obiekt był kilkakrotnie przebudowany i poszerzany. Obecny wygląd nadano mu na przełomie XIX i XX wieku. Stoi na nie wielkim wzniesieniu. Posiada typowe cechy polskiego dworu szlacheckiego z okresu neoklasycyzmu, jak: łamany polski dach, murowany portyk czterokolumnowy od strony północnej. Otoczony był parkiem i zabudowaniami gospodarczymi oraz ogrodem i stawami. Do dworu prowadziły dwa równoległe do ściany frontowej budynku zajazdy, kończące się przed wejściem trzema schodami, z których wchodziło się do sieni – węzłowego punktu funkcjonalnego układu i dalej do części mieszkalnej i reprezentacyjnej. Parterowy dwór w części był drewniany, a w drugiej murowany. Przed nim od ▶



Zygmunt Mars na werandzie - lata międzywojenne.



Salon w dworze Marsów.

► strony południowej rozciągała się piękna galeria ogrodowa, gdzie znajdowały się pergole i altany. Obok budynku stała murowana, neogotycka kaplica, w ołtarzu której znajdował się obraz Jezusa Chrystusa. Ozdobiona była pięknymi kompozycjami z kwiatów, które układała Jadwiga Mars, żona Zygmunta, marszałka powiatu limanowskiego.

W rodzinnej kaplicy odbywały się wszystkie uroczystości rodzinne oraz nabożeństwa majowe.

W dworze znajdowało się 14 pokoi, spiżarnia, kredens, pokój gościnny, pokój bilardowy, pokój werandowy i weranda od strony wschodniej. Z pokoju jadalnego na prawo wchodziło się do pokoju sypialnego Jadwigi i Zygmunta Marsów. Dalej na prawo był gabinet Zygmunta. Grzegorz Mars, bratanek Zygmunta, współwłaściciel dworu zajmował dwa pokoje z łazienką, zwane „Kijowem”. Od pokoju werandowego na prawo znajdował się jeden pokój gościnny, zwany „ciemnym”. Ze spiżarni przy otwartych drzwiach pokoi widać było koniec alei grabowej w parku. Była to tak zwana amfilada. Na górze znajdował się jeden pokój z balkonem, do którego prowadziły czarne schody. Stąd rozciągał się

widok na miasteczko. Zaś białe schody prowadziły do drugiego pokoju, którego okna „skierowane” były na podwórze. W tych pokojach mieszkali goście, którzy licznie przyjeżdżali na wakacje do Starej Wsi. Wyjątkowym gościem w dworze był Ignacy Mościcki, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, który w dniach 17-18 lipca 1929 r. był w Limanowej w ramach wizyty na Limanowszczyźnie.

W salonie po lewej stronie stał komplet mebli Bruttnera oraz okrągły stół, kanapa, dwa fotele, dwa krzesła. Między dwoma oknami wisiało lustro, a pod drugim oknem był fortepian. Na podłodze po prawej stronie leżał duży dywan, zrobiony przez dziewczęta limanowskie pod kierunkiem Jadwigi, żony Zygmunta Marsa. Po lewej stronie był drugi zestaw mebli w innym stylu, owalny stół, 6 krzeseł, kanapa, a między dwoma oknami, wychodzącymi na podwórze stała komoda, a na niej znajdowała się rzeźba z marmuru „Gladiatorzy”. Po obydwu bokach komody stały porcelanowe słupki, na których ustawione były donice z roślinami.

Wyposażenie jadalni to duży stół rozsuwany na 24 osoby z krzesłami, kredens i dwie szafki serwantki, w których stała porcelana i szkło.

Biblioteka znajdowała się w małym saloniku, nazywanym czytelnia. Były w niej cenne książki. Pokoje stylowe, urządzone ze smakiem. Stały w nich antyki, a na ścianach wisiały obrazy Aleksandra Mroczkowskiego i Wincentego Wodzinowskiego.

Cześć mebli przed nacjonalizacją dworu w 1945 r. została wywieziona przez Grzegorza Marsa do Krakowa. Do jego śmierci przebywały w kamienicy, w której mieszkał. Po jego śmierci w kamienicy zamieszkała wdowa, Zofia Chrzęszcz z Wolframów. Zmarła w 2003 roku, nie pozostawiając potomstwa.

Fotografie: arch. Krystyny Mars-Gawlikowskiej, Ewy Cichoń, arch. albumu „Okruchy pamięci”

Wyrażam podziękowanie p. Ewie Cichoń za udostępnienie materiałów oraz archiwalnych fotografii. Dziękuję także p. Krystynie Mars – Gawlikowskiej za konsultacje.



Wnętrze izby myśliwskiej w domu Mamaków. [Fot. D. Ocieпка]

Dzieje łowiectwa w Limanowej

W listopadzie br. brać myśliwska w Limanowej obchodzić będzie jubileusz 70-lecia koła łowieckiego, pierwszego w naszym mieście po II wojnie światowej pod nazwą „Kółko myśliwskie Jaworz w Limanowej”.

Kiedy na przełomie 1944/45 r. grupa pozostałych przy życiu działaczy łowieckich doprowadziła do zatwierdzenia Statutu Polskiego Związku Łowieckiego przez ówczesne Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych w styczniu 1945 r., PZŁ wpisany został do rejestru stowarzyszeń. W ten sposób stworzone zostały podstawy prawne powojennego organizowania się łowiectwa.

W Limanowej pasjonaci i społecznicy, którzy działali w myślistwie jeszcze w latach międzywojennych, poświęcając swój czas, energię i pieniądze, gdy tylko zostały stworzone podstawy prawne, już w pierwszym roku po wojnie przystąpili do założenia koła łowieckiego, co było niezbędne dla stworzenia odpowiednich warunków do rozwoju myślistwa na terenie Limanowszczyzny.

Pierwsze walne zebranie członków PZŁ w Limanowej odbyło się 24 listopada 1946 roku. Wtedy to zostało zorganizowane koło myśliwskie pod nazwą „Kółko myśliwskie Jaworz w Limanowej”. Zarząd koła tworzyli: *dr Adam Mamak* – prezes, *Stanisław Mamak* – łowczy, *Julian Czeczółka* – gospodarz, *Franciszek Łuc* – skarbnik, *Jan Czeczółka* – sekretarz.

Pisząc o siedemdziesięcioletniej tradycji łowiectwa w Limanowej, warto wrócić pamięcią do historii myślistwa. Zamiłowanie do niego jest stare jak dzieje ludzkości. Polowanie było zwyczajną powszechną i ogólnie dostępną częścią życia człowieka. Polowanie z jednej strony jednoczyło ludzi, a z drugiej było szkołą dzielności, przytomności, szkołą współżycia z przyrodą i myślenia. W czasach nowożytnych, gdy nastąpił zwrot świadomości społecznej, a nauka wytyczyła

nowe kierunki rozwoju ludzkości, równoległe powstają prądy mające na celu zmianę zasad współistnienia człowieka z przyrodą. Minęło przeświadczenie o nieograniczonej wystarczalności pól i lasów, narosło przekonanie o potrzebie zmian, które odwrócą degradację środowiska.

Powstają w szczególnie postępowych, wykształconych warstwach społecznych stowarzyszenia, związki, koła wywodzące się z warstw inteligencji, światłych

Stanisław Ocieпка



Walerian Zubrzycki po polowaniu 1910 rok.



Akcesoria myśliwskie Waleriana Zubrzyckiego. [Fot. D. Ocieпка]

► przedstawiciele różnych zawodów, ziemiaństwa, a także bogatej części mieszczan, które stawiają sobie za cel ochronę, hodowlę i rozumne wykorzystanie polowania, jak i zachowanie i kultywowanie tradycji i kultury łowieckiej.

Urok łowiectwa sprawił, że pomimo wielu narodowych dramatów (wojny, rozbiory, a w konsekwencji utrata państwowości) garnęły się do niego liczne rzesze ludzi wrażliwych na piękno przyrody.

W Polsce porobiorowej we wszystkich trzech zaborach prowadzono polowania. Polowali ludzie zamożni, których stać było na wydzierżawienie terenów łowieckich. Polowali obszarnicy, drobni właściciele majątków ziemskich i zamożniejsze warstwy społeczne. Większą swobodę w myślistwie mieli myśliwi w zaborze austriackim, w tzw. Galicji.

W 1862 roku we Lwowie powstaje Miejskie Towarzystwo Myśliwskie – jako pierwsze na ziemiach polskich stowarzyszenie łowieckie. W 1876 r. powstaje Towarzystwo Myśliwskie św. Huberta we Lwowie i Galicyjskie Towarzystwo Łowieckie, noszące później nazwę Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie.

Po odzyskaniu niepodległości w 1923 roku opracowano projekt statutu łowieckiego, który przyjęto i zatwierdzono w 1925 r. Na walnym zebraniu w Warszawie w roku 1923 powołano Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich. W roku 1936 ten związek zmienił swoją nazwę na Polski Związek Łowiecki (PZŁ). Powstała Rada Łowiecka i Zarząd Główny PZŁ, zwany Komitetem Wykonawczym. Od roku 1925 przygotowano projekt prawa łowieckiego, który ukazał się w 1927 r. w formie rozporządzenia prezydenta Rzeczypospolitej. W okresie międzywojennym nastąpił intensywny rozwój łowiectwa w Polsce. Powstały liczne organizacje łowieckie, wydano fachową literaturę o tematyce łowieckiej.

Jak było w Limanowej?

Niestety, nie udało się odnaleźć dokumentacji pisanej, która by jednoznacznie określała rozwój łowiectwa na przełomie XIX i XX wieku na terenach Limanowszczyzny. Moja wiedza na ten temat sprowadza się do dokumentacji fotograficznej, a także przekazu ustnego śp. p. Krystyny Bączkowskiej – Cynke – wnuczki Walerego Wieniawy Zubrzyckiego – limanowskiego aptekarza i burmistrza Limanowej przed I wojną światową.

Barwny opis polowań z okresu początku XX wieku odnajdujemy w broszurce Jana Sitowskiego, właściciela majątku i dworu w Mordarce, zatytułowanej „Wspomnienia limanowskie i staro-sądeckie”, wydane w Mordarce w 1916 r.

Jeśli chodzi o dokumentację fotograficzną to bezdyskusyjnie z niej wynika, iż Zygmunt Mars właściciel majątku i dworu w Starej Wsi był wielkim pasjonatem łowiectwa. Miał on gdzie polować, ponieważ wraz z bratem prof. dr. Antonim Marsem, był współwłaścicielem lasu starowiejskiego o powierzchni 208 ha. Na wielu fotografiach wykonanych przed 1910 r. widzimy Zygmunta Marsa w grupie kompanów wyruszających na polowanie sprzed dworu w Starej Wsi.

Z opowiadań p. Krystyny Bączkowskiej – Cynke wynikało, iż dziadek Walery Zubrzycki był także wielkim miłośnikiem łowiectwa. Często wyjeżdżał na polowanie na Bałkany. O jego zamiłowaniu do myślistwa świadczą trofea i akcesoria myśliwskie zgromadzone przez niego i przechowywane pieczołowicie przez rodzinę w domu, gdzie ostatnio mieszkała wnuczka Krystyna. Pamiątki po Jej śmierci przejął jedyny żyjący potomek tej rodziny Jan Postawa.

Warto również przytoczyć fragment barwnego opisu polowania w rejonie Limanowej z początku XX wieku, który przedstawił we wspomnianej broszurce Jan Sitowski.

(...) *Jako zamiłowany myśliwy w czasie wakacji polowałem na Lipowem, w Sowlinach i Starej Wsi na kuropatwy, przepiórki, chruściele z małym czarnym pieskiem Alegrusiem, który umiał wyszukiwać ptaki. W zimie zaś polowałem na zające z tatą, wujem Karolem Najderem i Karolem Żuławskim (Karol Żuławski – późniejszy prof. psychiatrii Uniwersytetu Jagiellońskiego, syn Leona Hermenegildusa Żuławskiego, limanowskiego lekarza – przyp. red.). Najczęściej zaś polowałem z Janem Jedlińskim i z Wojciechem Piątkowskim posiadającym dwie dowodne (dowodne – dobre – przyp. red.) suki: Trąbkę i Waldynę wiatrem goniące. Do tej drużyny należał też Józef Baran z Józefem Pałką, kowalem ze Starej Wsi. (...) Czasem polowałem z emigrantem Borzęckim (Zaruckim), pełnił obowiązki leśniczego we dworze starowiejskim, ożenił się z Marią Głębocką, córką Seweryna. (...) W roku 1872 zaprosił ojca mego i mnie Seweryn Głębocki, właściciel Mordarki, na polowanie, które miało się odbyć we wilię.*

Przybywszy do dworu, powiesiliśmy w przedpokoju na szaragach (szaraga – stojąca drewniana rama z hakami – przyp. red.) nasze śrutówki, nabite, ale bez kapsli, albowiem gospodarz poprosił nas naprzód na myśliwskie śniadanie. Serdecznie ugoszczeni, ruszyliśmy w pole z jednym chłopakiem, który prowadził psy gończe na sforce (sforca – rzemień lub sznur do prowadzenia psów gończych – przyp. red.). Nikt lepiej od niego nie umiał psami podłożyć. Na tak zwanych „górach dyrkowskich” zajęliśmy dogodne stanowiska za grubymi świerkami. Na dany sygnał trąbką chłopak (caniduktor) puścił psy, które w krótkim czasie, ruszywszy szaraka, zaczęły głośno „rachu – ciachu”, „ciachu – rachu”. Cóż to za rozkosz była dla nas, gdy usłyszeliśmy tak miłą dla ucha myśliwego muzykę. Prawdziwe polowanie lubowników jest tylko z gończymi psami.

Przygotowany i złożony do strzału spostrzegłem szaraka przemykającego koło mnie. Z odległości około 60 kroków wypaliłem do niego raz i drugi, gęsty dym zaćmił światło, a gdy zniknął, zobaczyłem szaraka mocniej pędzącego do góry, prosto na tatę. Po małej chwili padły dwa strzały, ponieważ jednak psy nie ucięły, lecz pognały dalej z głosem, przeto domyśliłem się, że i tata spudłował. Po upływie kilku minut odezwał się na samej górze, gdzie stał Seweryn Głębocki, jeden strzał, poczem psy ucięły – szarak był zabity(...).

Zapewne tego rodzaju polowania, które opisuje Jan Sitowski, miały charakter malowniczy.

Mało informacji można było odnaleźć na temat polowań na terenie Ziemi Limanowskiej w latach międzywojennych. W tym temacie pojawiają się pojedyncze wiadomości, iż w tym czasie w polowaniach uczestniczył January Zubrzycki, syn Waleriana oraz jego zięć Zdzisław Bączkowski. Można również odnaleźć w zachowanym dzienniku łowieckim z roku 1929/30, Koła Myśliwskiego z Krynicy, że jednym z trzydziestu członków tego koła był dr Adam Mamak z Limanowej. W latach 1926–1930 pracował on jako lekarz weterynarii w Rzeźni Miejskiej w Krynicy.

Dynamiczny rozwój organizacyjny łowiectwa na terenie Limanowej rozpoczyna się z chwilą założenia pierwszego w naszym mieście po II wojnie światowej w 1946 r. koła myśliwskiego „Jaworz”. Niewątpliwie do najbardziej zasłużonych na tym polu należą przedstawiciele dwóch



Myśliwi przed polowaniem we dworze Marsów (Zygmunt Mars drugi z prawej), ok. 1910 roku.



Myśliwi na polowaniu - ok. 1912 roku.



Członkowie Koła Myśliwskiego „Jaworz” - lata czterdzieste ubiegłego stulecia.

rodzin limanowskich: Adam i Stanisław Mamak oraz Julian i Jan Czczótko.

Już na pierwszym założycielskim walnym zebraniu koła myśliwskiego w Limanowej, które odbyło się 24 listopada 1946 r. zgromadziło się 18 członków, byli to: *Jan Czczótko, Stanisław Mamak, dr Adam Mamak, mgr Jan Szewczyk, prof. Józef Łuc, Jan Trojanowski, Edward Trojanowski, Antoni Iwan, Andrzej Kordaszewski, Julian Czczótko, Kazimierz Czaja, Edward Mamcarz, Józef Szewczyk, Stanisław Uryga, Aleksander Salabura, Walenty Włodarczyk* – wykaz według kolejności wpisu z dnia 27 XI 1946 r. do dziennika Rejestru Członków Kółka Myśliwskiego „Jaworz”. Liczba członków koła w kolejnych latach 1946-52 wzrosła do 56. Oto niektóre nazwiska: *Jan Matras, Antoni Marcisz, Maria Czczótko (vel Mamak), Władysław Chrapkiewicz, Michał Czachura, inż. Paweł Kuczyński, Marian Ufniarski, Jan Reciak, Marian Pachut, Władysław Korba, Błażej Kaim, Augustyn Fuchs, Kazimierz Gurgul, Marian Żulko, Andrzej Mucha, Władysław Czaja, Franciszek Zelek, Władysław Liszka, Franciszek Garczyński.*

Największym problemem organizacyjnym w pierwszych latach działalności koła myśliwskiego był brak swojej stałej siedziby. Dlatego początkowo spotkania odbywały się w prywatnych mieszkaniach u Juliana Czczótki i Jana Trojanowskiego, sporadycznie w sali Banku Spółdzielczego. Ważne wydarzenia w życiu koła organizowane były w świetlicy kolejowej znajdującej się tuż pod stacją albo w „Szalasiu Limanowskim” na rynku w Limanowej.

Na zebraniu 4 sierpnia 1950 r. Zarząd Koła jednogłośnie uchwałą przyjął od Stanisława Mamaka wspólny pokój w jego rodzinnym domu na kancelarię kółka. Lokal ten zobowiązał się przygotować St. Mamak. W związku z otrzymaniem lokalu Zarząd postanowił zawiadomić o tym fakcie Powiatową Radę Łowiecką. Od tego momentu oprócz stałych dyżurów urzędowania dla stron w każdy poniedziałek w godzinach 11-13, w lokalu tym odbywały się także zebrania Zarządu Koła.

Trudności lokalowe trwały do 1980 roku, do czasu, kiedy podjęto decyzję budowy własnej siedziby tzw. „Domku Myśliwskiego”. Początkowo jego lokalizacja miała być na tzw. lotnisku (os. Marsów). Ostatecznie domek wybudowa-



Myśliwi na spotkaniu z okazji 50-lecia Polskiego Związku Łowieckiego.

sportowej. Uroczyste otwarcie „Domku Myśliwskiego” który limanowskim myśliwym służy po dzień dzisiejszy, nastąpiło 16 października 1982 roku.

Powracając do działalności koła w początkowych latach powojennych, istotnym problemem poruszonym prawie na każdym zebraniu była walka z kłusownictwem. W książce protokołów z 14 kwietnia 1950 roku w punkcie siódmym, możemy przeczytać: *„Zarząd uchwała, iż wszystkich kłusowników wskazanych przez łowczego powiatowego, a popartych niezbitymi dowodami stwierdzonymi przez mgr. Jana Szewczyka jako nadające się na drogę sądową – skierować do sądu”*. Oprócz wielu zjawisk niepożądanych, działalność koła myśliwskiego „Jaworz” pozwoliła na dynamiczny rozwój łowiectwa w latach powojennych na terenie Limanowej i jej okolic.

W działalność tę zaangażowała się grupa pasjonatów myślistwa na czele ze Stanisławem Mamakiem, który bez reszty poświęcił swój wolny czas. W latach 1948 – 78 pełnił w tym kole funkcję prezesa i łowczego. Od 1949 r. był selekcjonerem. Przez długi czas pełnił funkcję zastępcy łowczego powiatowego. Od 1969 r. był członkiem Spółdzielni Jedność Łowiecka. Jako prezes koła czynił wszystko, aby prawo łowieckie było

respektowane, a jego przepisy przestrzegane przez wszystkich członków. Dbał o dobrą i skuteczną gospodarkę, uważał, że łowiectwo powinno przynosić realne dochody. W tym celu zabiegał o nowe tereny łowieckie i starał się o pozwolenie na polowania dewizowe. Organizował imprezy dochodowe dla koła, zawody w strzelaniu do rzutków, a dla zasłużonych członków wycieczki do innych kół. Czynił starania w sprawie przywrócenia odebranych kołu „Jaworz” obwodów łowieckich.

Miał dar skupiania ludzi wokół siebie. Przez jego „otwarty” dom przewijali się ludzie o całym przekroju społecznym. Jednocześnie był człowiekiem bardzo stanowczym i bezkompromisowym, aktywnie uczestniczącym w życiu społecznym nie tylko swojego środowiska, wyróżniającym się jako przewodniczący komitetów organizacyjnych.

Jego największą pasją było gromadzenie trofeów myśliwskich. Zebranie bogatej kolekcji zaowocowało zorganizowaniem w 1972 r. przy dużym zaangażowaniu żony Marii I Wystawy Łowieckiej z okazji Dni Ziemi Limanowskiej i 50-lecia PZŁ – jak sam podkreślał pierwszej wystawy o takim charakterze na terenie Podhala. Udostępniał często swoje eksponaty na inne wystawy. Ukoronowaniem tej

pasji było stworzenie wraz z żoną Marią w 1979 r. prywatnej Izby Myśliwskiej, co jak sam pisze było *„jego dewizą przez 52 lata działalności łowieckiej”*. Zbiory w prywatnym „muzeum” łowiectwa istnieją po dziś dzień. W ekspozycji zbiorów znajdują się: trofea myśliwskie, akcesoria myśliwskie i obrazki wykonane różną techniką, podejmujące tematykę łowiecką. Zainteresowani mogą sięgnąć do znajdującej się w Izbie biblioteczki, zawierającej pozycje z zakresu łowiectwa i ochrony przyrody.

Być może o historii myślistwa po II wojnie światowej i o ludziach tworzących tę działalność będziemy mogli więcej przeczytać w planowanym wydawnictwie, jakie ma się ukazać z racji 70. rocznicy powstania Koła Myśliwskiego „Jaworz”.

Fotografie: arch. Lilianny Mamak

W artykule wykorzystano archiwalne dokumenty koła łowieckiego „Jaworz” oraz materiały przygotowane przez Liliannę Mamak – kiedyś członkinię koła „Jaworz”, dziś „Ostra”, córkę Marii i Stanisława Mamak.

Hej, chłopcy, bagnet na broń

Stanisław M. Jankowski

Na miejscu zbiórki w dniu 1 sierpnia 1944 Wawrzyniec Żuławski – „Wawa” powinien był zameldować się przed godziną trzynastą. Dla II Batalionu Szturmowego „Odwet” Armii Krajowej przygotowano kwatery na Kolonii Staszica. Przeciwnik czekał kilkaset metrów dalej, w koszarach SS (Stauferkaserne) przy ulicy Rakowieckiej, koszarach wojsk przeciwlotniczych (Flakkaserne), gmachu Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i na stanowiskach baterii obrony przeciwlotniczej na Polu Mokotowskim. Baterię (4 działa ciężkie, 2 działka szybkostrzelne) osłaniało sześć gniazd ciężkich karabinów maszynowych otoczonych siecią drutów kolczastych: niełatwą przeszkodą do pokonania, jeśli wcześniej nie posieka ich artyleria, ogień moździerzowy...

Na „tygrysy” bez „visów”

Batalion „Odwet” nie miał artylerii. Przed natarciem wiadano, że Pani Śmierć pomoże raczej niemieckiemu batalionowi ochrony i 3. batalionowi grenadierów pancernych SS, razem sześciuset po zęby uzbrojonych i doskonale wyszkolonych żołnierzy. Przed koszarami stało pięć czołgów i 1 działko samobieżne. Nie istniała jeszcze piosenka o warszawiakach, którzy na „tygrysy” mają „visy”. W baonie szturmowym „Odwet” było mniej „visów” niż czekających na Polaków „tygrysów” z 5. Dywizji Pancerniej „Viking”...

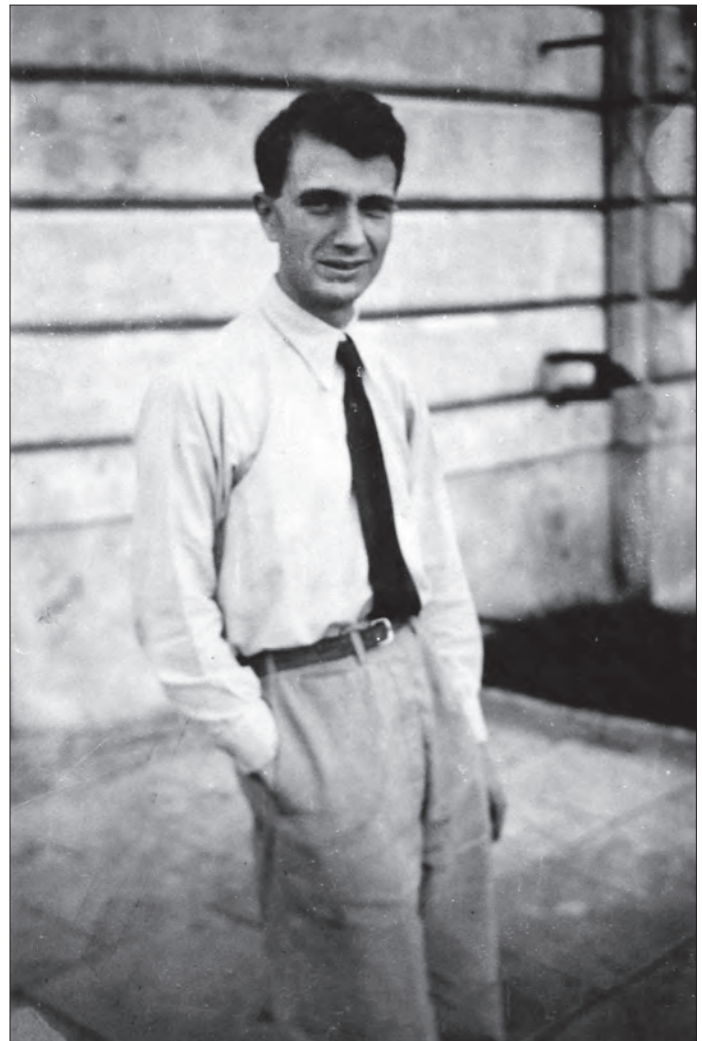
Niemal do godziny siedemnastej trwało oczekiwanie na zapowiadany przed południem transport broni. Z liczącego 650 żołnierzy batalionu „Odwet” i 130 łączniczek oraz sanitariuszek wyszło do powstania 530 młodych mężczyzn oraz 103 dziewczęta...

Cztery szturmowe kompanie „Odwetu” były niemalże symbolem uzbrojenia Armii Krajowej w dniu wybuchu działań powstańczych. Tylko trzech dowódców kompanii miało pistolety maszynowe, kilkudziesięciu atakujących – karabiny i pistolety z niewielką ilością amunicji. Dla pozostałych zabrakło nawet granatów...

O siedemnastej poderwali się do szturm i natychmiast Pani Śmierć zaczęła zbierać żniwo na Polach Mokotowskich. Przez kilka następnych dni i nocy tak będzie na Kolonii Staszica. Tutaj bezbronni chłopcy i dziewczęta z „Odwetu” spróbują się ukrywać po rozbiciu natarcia. Tutaj będzie trwało polowanie i tutaj, w piwnicach, zginie kilkudziesięciu schwytych i rannych powstańców. Nieliczni wrócą do domu, większość znajdzie się w oddziałach walczących na Ochocie, Mokotowie, na barykadach Południowego Śródmieścia. Pozostali pod dowództwem por. „Romana” – Juliusza Sobolewskiego przebiją się do Śródmieścia i razem z batalionem „Golskiego” będą bronili budynku Architektury.

„Wawa”, czyli Jerzy Żyliński

W relacjach zebranych przez kombatantów z „Odwetu” przemyka najpierw doktor „Justyn” – Tadeusz Orłowski. W budynku Architektury pomaga mu – po raz pierwszy tutaj



Wawrzyniec Żuławski - Warszawa 1940 rok.

ujawniony przez wspomnianych – Wawrzyniec Żuławski. Pojawia się też znane nielicznym, tzw. *policyjne* nazwisko „Jerzy Żyliński”. I informacja o kontaktach z „akowskim wywiadem”, utrzymywanych właśnie za pośrednictwem doktora „Justyna”. Z nim kontaktuje się łączniczka „Sierpówna” – w siedzibie wywiadu... na strychu Szpitala Dzieciątka Jezus, w dawnym areszcie RONA.

Sceneria rozmów jak z filmów o Hansie Klossie. Umeblowanie z drzwi i skrzynek do kwiatów. Łóżko: drzwi i dwie skrzynki, stół: cztery skrzynki i drzwi. W relacji „Sierpównej” można przeczytać:

„Miałam instrukcję kontaktowania się z „Justynem”, który razem z Wawrzyńcem Żuławskim miał być łącznikiem z wywiadem akowskim, jakoby organizującym ucieczkę „Odwetu” z transportu. Kwatera wywiadu mieściła się w dwóch pokojach na strychu szpitala Dzieciątka Jezus.[...] Czekałam na „Justyna” w pustym pokoju, w drugim była kobieta i mężczyzna. Weszła dziewczyna z miseczką zupy pytając słabą polszczyzną, czy nie jestem głodna. „Justyn” wyjaśnił sytuację. Mężczyzn, Jerzy

► Zborowski był ciężko rannym dowódcą z baonu „Golskiego” i jednocześnie zwierzchnikiem „Justyna” i Żuławskiego w wywiadzie. Dziewczyna, Ruth Weinberg była Żydówką z Niemiec, ukrywającą się w Polsce i pracującą w wywiadzie AK...”

Karabiny pod siennikiem

„Justyn” prowadzi łączniczkę do stojącego pod ścianą łóżka i pokazuje ukryte pod siennikiem karabiny, a w piecu – granaty. To broń „Odvetu”, zakopana na ulicy Noakowskiego. Skąd znalazła się w łóżku i piecu, w szpitalu na Lindleya? W pomieszczeniach byłego aresztu żołnierzy RONA, czyli Russkoj Oswoboditielnoj Narodnoj Armiji. Współpracujący z Niemcami renegaci w czasie powstania zapisali się niewyobrażalnym okrucieństwem. To oni 25 sierpnia mordowali rannych powstańców i personel Szpitala Dzieciątka Jezus.

W tej scenie natychmiast można sprawdzić obecność w szpitalu Jerzego Izydora Zborowskiego, 4 krotnie rannego w walkach dowódcę jednej z kompanii batalionu „Golski”. Nie poszedł do niewoli, ewakuowano go razem z cywilną ludnością. Pseudonim „Sierpówna” ujawnia nazwisko Zofii Straszewicz, dyplomowanej pielęgniarki oraz instrumentariuszki operacyjnej. Na szpitalnym strychu miała poznać plan wyrwania się żołnierzy „Odvetu” z transportu do obozu jenieckiego i przetrzucenia ich do partyzantki. Pomysłu nie zrealizowano.

Oficer bez przeszkolenia?

W kilku wspomnieniach obok nazwiska Żuławski wpisano oficerski stopień podporucznika. Rodzinie nic nie wiadomo o wezwaniu na szkolenie wojskowe przed wojną. W latach 1934–1939 „Wawa” studiował filozofię i muzykologię na Uniwersytecie Warszawskim. Kompozycji uczył się początkowo w Toruniu, później w Konwersatorium Warszawskim, w klasie Kazimierza Sikorskiego (dyplom 1937).

Nie zrezygnowałaby z niego armia, wiedząc o wspinaczkowych sukcesach, a to oznaczało znakomite zdrowie, kondycję, odwagę, jakiej często nie można nauczyć bez warunków ekstremalnych. Dla taternika każda wyprawa jest – wcale nie małym – polem bitwy z własnymi słabościami. A nierzadko walki z bezlitosnym żywiołem, o życie swoje i innych. Gdy w latach drugiej wojny zacznie się szkolenie komandosów największe szanse na przyjęcie do jednostek specjalnych będą mieli właśnie wspinacze, znakomici narciarze, pływacy...

A może – bo nie do wykluczenia – słowa o kontaktach z wywiadem miały doktorowi „Justynowi” dodać autorytetu w czasie konfliktu personalnego i niesubordynacji wobec podporucznika „Romana”, dowódcy batalionu „Odwet”? W żadnych wspomnieniach nie ma natomiast ani słowa o nieporozumieniach między „Romanem” i „Wawą”.

„Wawa” pojawia się niekiedy obok „Justyna”. Przypominają autorzy, i owszem, o przyjaźni łączącej lekarza i kompozytora, oraz o ich zainteresowaniu wyprawami górskimi. Wreszcie znajdują fragment, którego Żuławski jest może nie głównym, ale jednym z najważniejszych bohaterów.

Z Ekierem w auli Architektury

Piszę te zdania 15 sierpnia, na kalendarzu widać rok 2016. Relacja, z której korzystam, przenosi mnie do 1944, do uroczystości obchodzonego Święta Wojska Polskiego w szarpanej niemieckimi atakami polskiej Warszawie. Dokładniej:



Wawrzyniec Żuławski z matką. Warszawa 1940 rok.

na nabożeństwo na szerokim korytarzu pierwszego piętra budynku Architektury. A stąd do auli, na koncert Jana Ekiera. Tylko w czasie Powstania Ekier wystąpił trzydzieści razy, najczęściej grając utwory Chopina...

„Koncert rozpoczyna się Polonezem A-dur. Potem mazurki, parę preludiiów, scherzo b-molu i na zakończenie „etiuda rewolucyjna”. Na bis polonez As-dur. Wstajemy z miejsc, brawa i okrzyki – wspomina jeden z obecnych w auli – Janusz Kozłowski.

Do Architektury Ekier nie przyszedł sam. Pianicie towarzyszy Charles Bovery; to „lewe” nazwisko od 1942 roku grającego w warszawskich lokalach czeskiego saksofonisty tenorowego i wokalisty – Karela Nejdely. Do akompaniowania Boveremu podrywa się jeden z chłopców z batalionu „Odwet” – Wawrzyniec Żuławski ps. „Wawa”. Zostaje przy pianinie w czasie występu Mieczysława Fogga – natychmiast rozpoznanego – mimo szarego kombinezonu i szerokiego pancerniackiego beretu. Nie odchodzi od instrumentu, gdy wyraźnie zmęczonego trzecim w tym dniu koncertem Fogga zastępuje Mira Zimińska, informująca, że „boi się sama spać” i „taka jest malutka”...

Na linach przez Marszałkowską

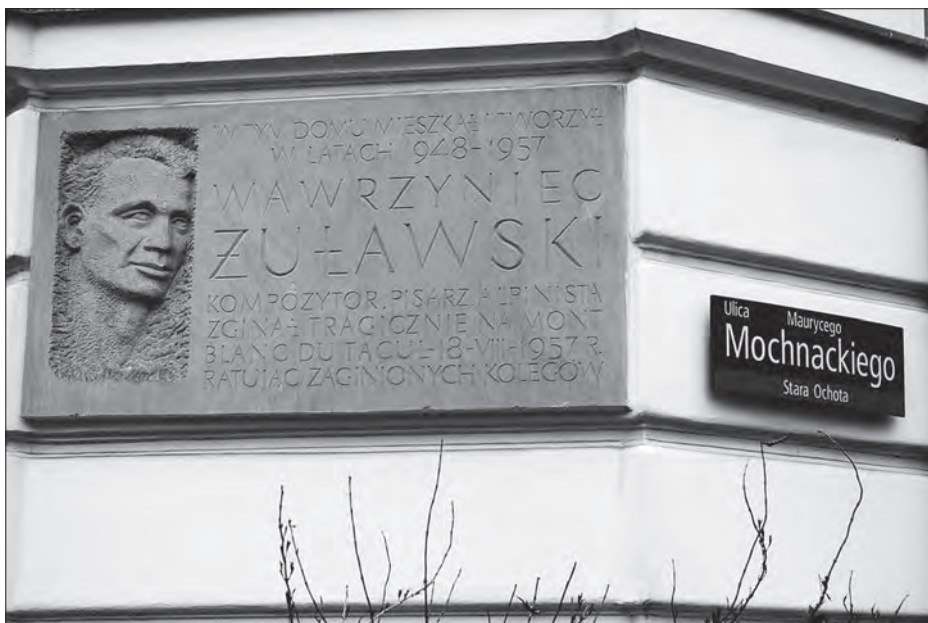
Tym powstańcom, którzy byli w auli na koncercie 15 sierpnia „Wawa” przypomni się raz jeszcze w czasie realizacji pomysłu rodem z jego taternickich i alpinistycznych wypraw. Znajdującą się pod ostrzałem ulicę Marszałkowską postanawia

połączyć linami, na których mogłyby pojechać wagoniki – skrzynki. Projekt niby prosty do wykonania, jeśli można przynieść z magazynu czy ze sklepu liny i co tam jeszcze niezbędne. Ale jest powstanie, nie ma otwartych sklepów, a w zdobytych magazynach czekającego na zamówienie materiału.

Liny to materiał przydatny przy różnych czynnościach i nikt nie zamierza ich się pozbyć tylko dlatego, że przydałyby się kolegom z batalionu „Odwet” czy „Golskiego”.

Ale wreszcie pojawiają się liny odpowiedniej grubości i udaje się nimi połączyć domy po obu stronach ulicy Marszałkowskiej. Od tego momentu niemieccy snajperzy i karabiny maszynowe zaczynają „polować” na przesyłki. Wygrywają wyścig, bo konstruktorom po prostu zabraknie... lin.

I tak kolejka linowa Wawrzyńca Żuławskiego (a może „Jerzego Żylińskiego”?) przechodzi do historii nie w pełni zrealizowanych „wynalazków” Powstania Warszawskiego.



Tablica upamiętniająca Wawrzyńca Żuławskiego na Starej Ochocie w Warszawie. [Fot. pl.wikipedia.org]

Przy opracowaniu artykułu wykorzystano:

- Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna (oprac.) *Ten jest z Ojczyzny mojej*. Kraków 1969.
- Maria Sułowska - Dmochowska *II Batalion Szturmowy „Odwet”* oraz „Suplement”, Warszawa 1993.
- Juliusz Żuławski *Z domu*, Warszawa 2016.
- Rozmowy: Maria Tuszyńska, Ewa Żuławska-Bogacka.

Fot.: arch. Ewy Żuławskiej-Bogackiej

PIECZĄTKI

Plastus

papier • biuro • szkota

ul. M.B. Bolesnej 22
tel. 18 3373 177

ul. J. Marka
tel. 18 3371 616

**- Ksero, oprawa
wydruki kolor**

**- ZAMÓWIENIA NA
TELEFON**
www.katalogbiurowy.pl

- TUSZE I TONERY
zamienniki
w atrakcyjnych cenach

**- DŁUGOPISY
Z NADRUKIEM**
już od 1 szt.

www.plastus.alte.pl
www.facebook.com/plastus.limanowa

CoolPack

**WYPRZEDAŻ
KOLEKЦИИ**

**GRAWEROWANIE
LASEREM**

Oryginalne zaproszenia,
winiетки wycinane laserem
grawer na butelkach,
kieliszkach, albumach,
brelokach...

ZAKŁAD POGRZEBOWY

WIOLETA KULMA

<p>LIMANOWA ul. Piłsudskiego / przystanek szpital 34-600 Limanowa</p>	<p>NAWOJOWA Budynek GS 33-335 Nawojowa</p>
--	---

OFERUJEMY USŁUGI CAŁODOBOWE

- Transport ciała z miejsca wskazanego przez rodzinę do chłodni,
- Trumny, wieńce, wiązanki, bukiety na trumnę itp.
- Kompleksowa obsługa pogrzebu,
- Oprawa muzyczna ceremonii żałobnych,
- Karawany, kondukt,
- Kaplicę przed pogrzebową,
- Przygotowanie ciała do pochówku,
- Rozliczenie zasilku pogrzebowego w ramach ZUS

DYŻUR CAŁODOBOWY

669-994-088

**KONTAKT PROSEKTORIUM
LIMANOWA**

665-988-131
665-988-123

DZIĘKUJEMY ZA ZAUFANIE



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

Weź Wygodny **KREDYT** **NA SZCZĘŚCIE**



Tylko teraz oprocentowanie kredytu
4,99%¹ lub 5,49%²

1. Stałe oprocentowanie w całym okresie trwania umowy kredytowej
2. Niska prowizja za udzielenie kredytu
3. Ubezpieczenie w dwóch wariantach
4. Okres kredytowania - do 60 miesięcy
5. Maksymalna kwota kredytu - nawet do 100 000 zł
6. Na dowolny cel – sam decydujesz na co przeznaczysz pieniądze
7. Raty dopasowane do indywidualnych możliwości
8. Elastyczny termin spłaty rat
9. Brak opłat za wcześniejszą spłatę kredytu

PROMOCJA OGRANICZONA CZASOWO

1. Przykład reprezentatywny dla kredytu Bezpieczna Gotówka z rozszerzonym pakietem ubezpieczeń dla okresu 36 miesięcy:

• RRSO dla reprezentatywnego przykładu wyliczonego na dzień 10.08.2016r. z rozszerzonym pakietem ubezpieczeń, wynosi 14,81% - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu 10 000 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 299,67 zł i jedna rata 300,51 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 4,99% w stosunku rocznym, koszty związane z ubezpieczeniem - płatnym jednorazowo „z góry”. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 12 008,96 zł, w tym: całkowita kwota kredytu – 10 000 zł, całkowity koszt kredytu – 2 008,96 zł, na który składają się: odsetki – 788,96 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 500 zł, składka ubezpieczeniowa – 720 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł.

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

2. Przykład reprezentatywny dla kredytu Bezpieczna Gotówka z podstawowym pakietem ubezpieczeń dla okresu 36 miesięcy:

• RRSO dla reprezentatywnego przykładu wyliczonego na dzień 10.08.2016r. z podstawowym pakietem ubezpieczeń, wynosi 13,01% - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu 10 000 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 301,92 zł i jedna rata 302,85 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 5,49% w stosunku rocznym, koszty związane z ubezpieczeniem - płatnym jednorazowo „z góry”. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 11 820,05 zł, w tym: całkowita kwota kredytu – 10 000 zł, całkowity koszt kredytu – 1 820,05 zł, na który składają się: odsetki – 870,05 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 500 zł, składka ubezpieczeniowa – 450 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł.

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

Weź **WYGODNIE** w najbliższej placówce Banku

Szczegóły na www.bs.limanowa.pl



**THERMOPOR 25
LEIER**

250 x 375 x 238 mm

3,69 zł/szt.



**STAL
ZBROJENIOWA**

fi 10,12,16

2199,00 zł/t



ZAPRAWA KLEJĄCA ZS
do styropianu

12,99 zł/25 kg



ZAPRAWA KLEJĄCA ZU
do styropianu i wykonywania
warstwy zbrojonej

17,99 zł/25 kg



**TYNK AKRYLOWY
CERESIT CT 60**

1,5 mm, faktura kamyczka

od 90,00 zł/25 kg



**STYROPIAN
TERMO ORGANIKA
DALMATYŃCZYK**

fasada gr 12 cm

109,00 zł/m³

**Jedyny, oryginalny
o potwierdzonej
jakości**

Termo Organika
Myśl: Ciepło

**Styropian
Termo Organika
SILVER FASADA, λ=40**

136,00 zł/m³

